

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Karol May

Rozbójnicy z Maladety

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Nikczemny czyn

W drodze powrotnej do domu don Pablo Cortejo, sekretarz hrabiego Fernanda Rodrigandy, spotkał jeźdźca, po którym od razu można było poznać, że nie przywykł do siodła. Miał na sobie lekkie letnie ubranie, a na głowie olbrzymich rozmiarów sombrero. Na jego widok Cortejo zatrzymał konia. Znał tego człowieka, ale nie spodziewał się go tutaj spotkać. Był to kapitan Enrique Landola. Mocno zaciśnięte usta z nieco opuszczonymi kącikami, ostro zarysowany nos, przenikliwy i bystry wyraz szarych oczu – wszystko to znamionowało nieprzeciętnego człowieka.

Kapitan Landola był istotnie niezwykłym marynarzem. Wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że mimo hiszpańskiego nazwiska jest rodowitym Jankesem, że nikogo się nie boi, nawet samego diabła, i że z każdej opresji potrafi wyjść cało. Przewędrował wszystkie morza i porty, miał opinię człowieka, który dla pieniędzy nie zawaha się przed niczym. Chodziły nawet słuchy, że trudni się handlem Murzynami, który w tych czasach był już formalnie zniesiony.

– Czy mnie oczy nie mylą? Więc to naprawdę pan, kapitanie? – zapytał Cortejo.

– We własnej osobie.

– Co pan tu robi?

– Szukam seniora.

– Mnie? – zdumiał się Cortejo.

– Tak. Chyba pan wie, że wylądowałem w Veracruz. Z pewnością otrzymał pan list od brata w tej sprawie.

– Owszem.

– A więc wszystko w porządku. Przejechałem konno przez ten przeklęty kraj zbójów i żółtej febry, aby interes ubić osobiście.

W domu zastałem tylko pańską córkę, która powiedziała mi, że z pewnością spotkam pana na tej drodze. Oto wszystko.

– Popelnił pan nieostrożność. Nikt seniora nie powinien widzieć, mimo że jest tu pan zupełnie nieznany. Nikt nie może zobaczyć razem dwojga ludzi, którzy mają załatwić taki interes jak nasz.

– No dobrze, dobrze.

– Niech pan teraz jedzie na spacer, a wieczorem, koło dziesiątej, niech się pan zjawi tu pieszo.

– Będę punktualnie.

Gdy Cortejo przybył do domu, Josefa, wyczekująca ojca z niecierpliwością, zapytała:

– Czy zastałeś Indianina, czy otrzymałeś potrzebny środek?

– Tak. Ale piekielnie drogi.

– Opowiedz ojcu, jak się to odbyło.

Cortejo zdał córce sprawę ze swej wizyty u Basilia, po czym rzekł:

– Jak mogłaś posyłać mi na spotkanie kapitana?

– Dlaczego nie miałam tego zrobić?

– Nikt nie powinien widzieć nas razem.

– Byłoby jeszcze gorzej, gdybym mu pozwoliła czekać u nas na ciebie.

– Chciał tu czekać? A to nieostrożny człowiek! Czy mówił coś o interesie?

- Ani słowa.
- A ty?
- Josefa milczała chwilę zakłopotana. Wreszcie odpowiedziała:
- Chciałam naprowadzić rozmowę na ten temat, ale kapitan zbywał mnie tak wymijającymi odpowiedziami, że nic z tego nie wyszło.
- Człowiek jego pokroju nie będzie mówił o takich sprawach z kobietami. Czy powiedział mu dokąd pojechałam?
- Nie. Powiedziałam tylko, że będzie cię mógł spotkać na drodze do Paseo. Ale wracając do naszego środka, czy to proszek czy mikstura?
- Proszek.
- Pokaż.
- Ojciec otworzył torebkę.
- Kiedy go użyjesz? Dziś jeszcze?
- Trzeba czekać na Alfonsa.
- Po co?
- To przynajmniej naradzę się z kapitanem.
- A więc don Fernando jutro dostanie proszek?
- Być może.
- Ale jak to zrobisz? Stara Maria pilnuje go jak pies, nie dopuszcza do niego nikogo.
- Trzeba będzie znaleźć sposób.
- Jak szybko działa ten środek?
- Już po upływie jednej nocy, a potem przez cały tydzień.
- A jeżeli umrze? Jest przecież ranny.
- To już nie będzie moja wina. Zamierzam pozornie go zabić. Jego śmierć nie spadnie więc na mnie.
- Wieczorem udał się Cortejo pieszo na spotkanie z kapitanem. Landola już tam był.
- Nadzwyczajna punktualność. To lubię, to mi się podoba! – zawołał.
- Jak pan spędził czas, kapitanie?
- Jest tu dosyć tawern, w których można się zabawić, ale mniejsza o to. Przystąpmy do rzeczy!
- Wziąwszy się pod rękę, spacerowali w ciemności, rozmawiając po cichu.
- Więc otrzymał pan list od swego brata Gasparina? – zapytał kapitan.
- Tak. A pan ma jego polecenia?
- Nie.
- To dziwne.
- Mam wrażenie, że się pan nieodpowiednio wyraził – powiedział cierpko kapitan. – Enrique Landola jest sam sobie panem. Nie pozwalam nigdy, by mi ktoś rozkazywał lub dawał polecenia.
- Niech mi pan wybaczy. Nie to miałem na myśli.
- Więc zgoda. Zdradzę teraz, że pański brat prosił mnie o pomoc seniorowi w pewnej dyskretnej sprawie.
- W jakiej?
- Może będzie chodziło o unieszkodliwienie człowieka...
- Czy ma umrzeć, czy też żyć?
- Pański brat chce, aby zginął.
- A gdybym był innego zdania? – zawahał się Cortejo.
- To zależy od zapłaty. Ile pan daje?
- Czy tysiąc duros wystarczy?
- Wystarczy. Co mam zrobić z tym człowiekiem?
- Zabrać go stąd.

– Dokąd?

– Pańska sprawa.

– Dobrze. Kiedy pan mi go przekaże? – wypytywał dalej Landola.

– Jak długo zostaje senior w porcie?

– Dopóki nie skończymy naszych spraw. Ale mam nadzieję, że nie każe mi pan w tym łogowisku żółtej febry siedzieć zbyt długo. W przeciwnym razie będę zmuszony wyjechać. Życie mi drogie.

– Pośpieszę się. Czy senior wie, kogo ma zabrać?

– Nic mnie to nie obchodzi. Dla mnie ważne są tylko pieniądze. Gdyby Cortejo mógł przy tych słowach widzieć twarz kapitana, przekonałby się, że Landola kłamie.

– Powie panu swoje nazwisko – mówił dalej sekretarz.

– Będę udawał, że mu nie wierzę.

– A jeżeli załoga statku usłyszy?

– Czy dowiem się, gdzie go pan umieścił?

– Może. Tego dziś jeszcze nie wiem.

– Dobrze. Przypuśćmy jednak, że człowiek ten jutro umrze.

– Kiedy by go pochowano?

– Po dwóch dniach. Ponieważ jednak bratanek jest nieobecny...

– Zostanie pochowany bez bratanka.

– Nie, to niemożliwe.

– Do licha! W takim razie niech go lekarz zabalsamuje.

– Na to nie pozwolę. Oświadczę, że w rodzinie nikogo nie balsamowano, albo że zmarły był zawsze przeciwnikiem balsamowania.

– Doskonale. Ale w jaki sposób przeniesiemy go do portu? Chyba nie w trumnie?

– Nie. Zbyt rzucałoby się w oczy.

– A w skrzyni?

– Udusi się.

– W takim razie najlepiej będzie w koszu.

– Dobrze. Ale jak go przewieźć na przystań?

– Na mułach.

– A jak proponuje pan załadować „bagaż” na statek?

– To już pańska sprawa, kapitanie.

– Nie bardzo mi się to podoba. Ale trudno, jakoś dam sobie radę. Niech pan tylko uważa, żeby kosz nie zginął po drodze!

– To właśnie jest najtrudniejsze. Po tej drodze włączą się różni biali i czerwoni rabusie i różna hałastrą.

– To już pańska sprawa, żeby zapewnić dobrą eskortę.

– A w jaki sposób powiadomić pana o naszym przybyciu?

– W bardzo prosty: wyśle senior do mnie na statek posłańca.

– Zejdzie pan, kapitanie, do nas?

– Tego nie wiem. Niech pan w każdym razie wyszuka takie miejsce daleko od miasta, przy którym łatwo można zakotwiczyć. W nocy zabiorę kosz. To chyba wszystko.

– Tak panu śpieszno?

– Czeka mnie mała rozrywka. Życie na morzu jest piekielnie jednostajne, skoro więc zawinie się do portu, trzeba używać.

– Rozumiem. Dobrej nocy!

– Dobrej nocy! Niech się pan tylko pośpieszy!

Po tych słowach rozstali się.

Szczęście albo raczej diabeł sprzyjał sekretarzowi. Przechodząc obok pałacu swego pana, spotkał starą Marię, wracającą od studni.

- Jak się czuje hrabia? – zapytał.
- Bez zmian.
- Czy gorączka spadła?
- Nie, ma ciągle straszne pragnienie. Co kwadrans muszę mu podawać szklankę wody.
- Czy był lekarz?
- Dwa razy. Powiedział, że nie ma powodu do obaw, chyba że znajdą jakieś komplikacje.
- Da Bóg, hrabia wkrótce wyzdrowieje. Chociaż w kraju o tak upalnym klimacie, jak nasz każda rana może być niebezpieczna.
- To prawda. Ale muszę już iść. Dobrej nocy!
- Dobranoc!

Stali właśnie przed mieszkaniem Marii. Staruszka weszła na chwilę, aby coś stamtąd wziąć, a szklankę wody zostawiła na murze przed domem. Cortejo miał proszek przy sobie. Wsypał więc truciznę do szklanki i szybko odszedł.

Josefa czekała na ojca. Opowiedział jej, co zaszło. Gdy skończył, klasnęła w dłonie.

– Wspaniale! – zawołała. – Wygraliśmy ostatecznie. Teraz wiem na pewno, że będę hrabianką. Kiedy wraca Alfonso?

– Za kilka dni. Może nawet jutro.

– Nie będę tej nocy mogła spać z radości.

– Pójdź jednak do swojej sypialni. Jeżeli z hrabią stanie się coś niezwykłego, wszystkich trzeba będzie obudzić. Zrobiłoby to dziwne wrażenie, gdybyś zjawiła się ubrana. Musimy uważać na każdy drobiazg.

– Masz rację. Ale, ale... Zapomniałam o najważniejszym: myślę, że hrabia sporządził nowy testament.

– Do licha! – zaklął Cortejo.

– Tak mi się zdaje. W przeddzień pojedynku pisał coś bardzo długo, tak mówi lokaj.

– To jeszcze nie dowód, że sporządził nowy testament.

– Dlaczego więc ukrywa tak skrętnie to, co napisał? Dlaczego nie schował tego w biurku, gdzie są wszystkie papiery, ale dał starej Marii Hermoyes?

– Do diabła! Jesteś tego pewna?

– Tak. Wyszła z pałacu z wielką, pięciokrotnie opieczetowaną kopertą. Gdy hrabia zawołał ją do siebie po pojedynku, przyniosła mu kopertę z powrotem.

– Kto ci to powiedział?

– Kamerdyner.

– Może istotnie masz rację. Ale w każdym razie Alfonso zostanie spadkobiercą.

– Albo nie. Mógł go przecież wydziedziczyć, jest tylko jego bratankiem. Jedynie dobra w Hiszpanii muszą bezwarunkowo przypaść Alfonsowi jako majorat.

– Nie rozumiem, dlaczego hrabia takim zaufaniem darzy tę Marię?

– Przywiozła mu Alfonsa. A może ona coś przeczuwa?

– Czy przypuszczasz, że mogła o tych przeczuciach mówić z hrabią?

– Wszystko jest możliwe.

– Trzeba ją unieszkodliwić. Gdzie twoim zdaniem hrabia schował kopertę?

– Chyba, właściwie jestem pewna, w środkowej szufladzie biurka, gdzie leżą wszystkie ważne dokumenty.

– Gdy tylko nasz proszek zacznie działać, będziesz musiała otworzyć tę szufladę.

– Postaram się. A teraz dobrej nocy!

Josefa poszła do sypialni, nie mogła jednak zasnąć. Leżąc na łóżku, śniła z otwartymi oczami o przyszłym życiu, pełnym blasków i zaszczytów. Z tego, że je okupuje ciężką zbrodnią, nie robiła sobie żadnych wyrzutów.

Cortejo spał w najlepsze, gdy zbudzono go głośnym pukaniem.

– To ja, służący Arnoldo. Nieszczęście spotkało naszego pana!

– Zaraz, zaraz!

Wyskoczył z łóżka, nałożył szlafrok, zapalił światło i otworzył drzwi.

– Co się stało hrabiemu? – zapytał.

– Nie wiem. Miałem dziś w nocy dyżur. Siedziałem na korytarzu i zdrzemnąłem się chwilę. Nagle usłyszałem krzyk w pokoju hrabiego. Pokój był od wewnątrz zamknięty na klucz. Zacząłem wołać, co się dzieje, ale nikt mi nie odpowiedział. Usłyszałem tylko płacz i rozpaczliwe biadania Marii. Ponieważ Maria nie otworzyła drzwi, przybiegłem tutaj.

– Dobrześ zrobił. Musimy natychmiast tam pójść! Kiedy znaleźli się pod drzwiami pokoju hrabiego, don Pablo usłyszał głośny płacz Marii.

– Otwierać! – krzyknął, uderzając w drzwi nogą.

To poskutkowało, Maria otworzyła.

– Co się stało? – zapytał sekretarz.

– Ach, nasz dobry pan nie żyje! – odparła z jękiem.

Cortejo podszedł do łóżka, popatrzył na hrabiego. Don Fernando leżał bład jak trup, policzki miał zapadnięte.

– Kiedy umarł? – zapytał don Pablo.

– Nie wiem.

– Musisz wiedzieć, czuwałaś przecież przy nim!

– Zasnęłam. Kiedy się ocknęłam, już nie żył. Nie wiem, jak długo rozpaczałam.

– A może tyś winna jego śmierci? Nie otwierałaś. Być może można go było jeszcze uratować.

– Nie, nie!

Cortejo, wchodząc do pokoju, spojrzął na biurko: klucz tkwił w zamku środkowej szuflady.

– Obudzić całą służbę! Sprowadzić lekarza! – rozkazał służącemu.

Arnoldo i stara Maria wybiegli z pokoju. Cortejo podszedł podekscytowany do biurka, otworzył szufladę, znalazł kopertę. Włożywszy ją do kieszeni szybko wyszedł. W przedpokoju spotkał jeszcze Marię. Biorąc ją pod ramię, zapytał:

– Hrabia miał dużo zaufania do ciebie, prawda?

– O tak! – odparła, głośno łkając.

– Zostań więc przy nim, aż przybędzie komisja sądowa. Pilnuj, by nic nie zginęło z pokoju. No, idź!

Służąca wróciła do pokoju, nie przestając żałośnie zawodzić. Na wołanie sekretarza zbiegł się cały pałac, aby oplakiwać niespodziewaną śmierć hrabiego. Po pewnym czasie nadszedł lekarz. Przede wszystkim wyprosił wszystkich z pokoju. Pozwolił tylko zostać sekretarzowi, kamerdynerowi i Marii. Zbadawszy ciało, potrząsnął głową i powiedział:

– Tetanus, tężec. Jeszcze jest ciepły, musimy poczekać. Cortejo bał się, że lekarz wpadnie na pomysł otworzenia żył hrabiemu. Obawy jednak okazały się płonne. Lekarz oświadczył, że pozostanie do rana. Pablo oddalił się wraz ze służącymi. Maria została z lekarzem. Zaledwie Cortejo wrócił do domu, Josefa wbiegła do pokoju z pytaniem:

– Czy masz dokument?

– Tak, znalazłem go w środkowej szufladzie. Na kopercie nie ma żadnego napisu. Zobaczmy!

Złamał pieczęcie, wyciągnął z koperty papier i czytał. W miarę lektury bladł coraz bardziej.

– Co się stało? – spytała Josefa.

– Czytaj!

Ona również zbladła. Skończywszy czytać, rzuciła papier na podłogę.

– A więc tak, jak przypuszczałam: wydziedziczony!

– Nie dostalibyśmy ani grosza!

– Tej Marii zapisał niebywale bogactwa.

– A my poszlibyśmy pod sąd, który będzie badał, czy Alfonso jest istotnie hrabim Rodrigandą.

– Szczęście, że mamy ten papier.

– Spal go!

– Nikt nie zauważył, jak wyciągnąłeś go z biurka? Może Maria?

– Nie, na pewno nie!

– W takim razie można go spalić. Brak teraz tylko Alfonsa!

– Ja go zastępuję. Władze będą musiały zwracać się ze wszystkim do mnie jako do sekretarza hrabiego.

– A co będzie z plamami pośmiertnymi?

– Znajdzie się na to rada.

– Kto się tym zajmie: ja czy ty?

– Ja. Znam się na tym lepiej.

– Czy zwłoki hrabiego pozostaną w pokoju?

– Nie. Zamkniemy pokój aż do chwili otwarcia testamentu.

– Kiedy to nastąpi?

– Jeszcze dziś.

– Gdzie położysz ciało?

– Na katafalku w wielkiej sali. Trzeba będzie ściany obić na czarno.

– Czeka mnie sporo pracy.

– Mnie również. Muszę przygotować trumnę i całą ceremonię.

No, trzeba zaczynać, już świta.

– Ale przede wszystkim to – Josefa wzięła testament od ojca i wraz z kopertą wrzuciła do płonącego kominka.

Po kilku godzinach lekarz wezwał don Pabla.

– Pan jest sekretarzem hrabiego, pan prowadził wszystkie jego sprawy?

– Tak.

– W takim razie oświadczam, iż hrabia rzeczywiście umarł.

Cortejo przybrał zrozpaczony wyraz twarzy.

– Czy to możliwe? – zawołał.

– Z początku sam nie wierzyłem, ale teraz jestem pewien.

– Powiedział pan, panie doktorze, że to tetanus?

– Tak, tęzec. W naszym klimacie najmniejsza nawet rana może się tym skończyć.

– To straszne! Pozwoli pan, doktorze, że przeniosę stąd zwłoki? Za jakieś pół godziny zjawią się przedstawiciele władz, żeby stwierdzić, kto jest spadkobiercą.

– Kto nim będzie?

– Przypuszczam, że don Alfonso.

– Czy był pan obecny przy pisaniu testamentu?

– Tak.

– W takim razie to nie przypuszczenie, ale pewnik. Proszę, niech mnie pan poleci hrabiemu Alfonsowi. Zawsze cieszyłem się pełnym zaufaniem jego stryja.

– Postaram się uczynić wszystko, co w mojej mocy.

– Wystawię panu akt zgonu. Chciałbym tylko zbadać jeszcze raz ciało przed samym pogrzebem.

– Proszę pana nawet o to, doktorze.

Nie zdążono jeszcze przenieść zmarłego, gdy zjawily się władze. Maria musiała opuścić pokój, został w nim tylko don Pablo jako sekretarz i pełnomocnik hrabiego. Don Fernando zdeponował swój pierwszy testament u władz. Odczytano go teraz. Jedyńm spadkobiercą był

don Alfonso. Zgodnie z zaleceniem stryja miał on wypłacić sekretarzowi wcale okazałą sumę i zatrzymać go na dotychczasowym stanowisku. Hrabia nie zapomniał również o służbie.

– Gdzie jest hrabia Alfonso? – zapytał jeden z przedstawicieli władz.

– Na bardzo odległym folwarku.

– Kiedy wraca?

– Najpóźniej za kilka dni.

– Proszę zawiadomić mnie, gdy tylko przybędzie. Pragnę się z nim naradzić. A teraz upoważniam pana w myśl testamentu, do zajęcia się pogrzebem. Gdzie znajdują się papiery zmarłego?

– W bibliotece i tutaj.

– A pieniądze, kosztowności?

– W tym biurku.

– W takim razie muszę opieczetować chwilowo całe mieszkanie.

Pan odpowiada za nienaruszalność pieczęci.

Cortejo skinął głową i rzekł:

– Proszę tylko o pewną sumę na koszt pogrzebu. Później rozliczę się z niej.

– Dobrze, otrzyma ją pan.

Pokój hrabiego został opieczetowany, zwłoki umieszczono w wielkiej sali.

Falszywy spadkobierca

Wiadomość o śmierci hrabiego Fernanda szybko rozeszła się po stolicy. Mówiono też o pojedynku, który spowodował śmierć. Hrabia był w mieście ogólnie lubiany, toteż w ciągu jednego dnia napłynęło do pałacu wiele kondolencji.

Po południu udało się don Pablowi spędzić dłuższą chwilę przy zmarłym. Był zupełnie sam, miał więc sposobność pomalowania ciała specjalnym płynem. Plamy „pośmiertne” wystąpiły w całej okazałości. Lekarz, który przybył następnego dnia, bez wahania pozwolił na pogrzeb.

Dzień ten przyniósł don Pablowi jeszcze jedno pomyślne wydarzenie: zjawił się w jego domu z dawna wypatrywany gość: Alfonso. Don Pablo powitał go serdecznie:

– Czekałem na ciebie z niecierpliwością!

– I ja tęskniłem za Meksykiem i za wami!

– Czy wiesz, że hrabia nie żyje?

– Tak – odparł Alfonso z uśmiechem.

– Śmiejesz się? Dlaczego?

– Bo jesteś wszechwiedzący. Napisałeś mi w liście, że hrabia Fernando umrze, przyjeżdżam, zsiadam z konia i dowiaduję się, że naprawdę nie żyje! To rozumiem, to mi precyzyjna robota.

– Nie pytasz nawet, kto jest dziedzicem?

– Po co? Przecież ja nim jestem.

– Oho! Alfonso zbladł.

– Więc nie? Mówże!

– No, no, nie denerwuj się – uspokoił go don Pablo. – Jesteś dziedzicem, ale niewiele brakowało, a zostałby nim zamiast ciebie stary hrabia Manuel, pan na zamku Rodrigandów w Hiszpanii, twój „ojciec”.

– Do diabła! Dlaczego? Nic z tego nie rozumiem!

– Dowiesz się wkrótce o wszystkim. Ale jakże ty wyglądasz? Co to za łachy?

– Przyjeżdżam przecież z dzikiego kraju. Pójdę do swoich pokojów, aby się przebrać.

W uchylonym skrzydle drzwi stanęła Josefa. Na widok Alfonsa zbladła jak kreda, później oblała się rumieńcem. Wyciągając ramiona, zawołała:

– Alfonso, Alfonso! Ukochany kuzynie!

Alfonso nie ruszył się. Podbiegła więc do niego, przytuliła się i zaczęła go namiętnie całować. Alfonso bronił się, lecz na próżno.

Wpadł więc w złość i krzyknął:

– Zostaw mnie w spokoju! Wypraszam sobie takie poufałości. Jak śmiesz nazywać mnie głośno kuzynem! Mógłby nas kto usłyszeć i nieszczęście gotowe!

– Taka jestem szczęśliwa, że jesteś!

– To jeszcze nie powód, aby mi jedynym zębem odgryzać wargi!

Słowa te poskutkowały. Sowie oczy Josefy zabłyśły gniewem.

Odsunęła się szybko.

– Za tę obrazę będziesz mnie jeszcze błagał o przebaczenie.

– Z pewnością nie dzisiaj – odparł Alfonso szyderczo.

– Ale jutro!

– Niedoczekanie.

- Zobaczysz! Nie pozwolę obrażać się bezkarnie!
- Nie lubię frazesów. Gdzie są klucze od mego mieszkania, Cortejo? Don Pablo obserwo-
wał całą scenę.
- Tam – rzekł oschle, wskazując czarną deskę, na której wisiał pęk kluczy.
- Alfonso spojrział na niego ze zdziwieniem i zapytał:
- Co ci się stało?
- Nic.
- Mógłby się jednak pan sekretarz pofatygować i podać klucze swemu panu.
- Cortejo naburmuszył się jeszcze bardziej i rzekł:
- A bratanek mógłby oszczędzić stryjowi tego.
- Alfonso roześmiał się i odparł:
- Po co ta komedia? Nie chcę być ani jej aktorem, ani Widzem!
- Dotychczas grałeś tylko małą rolę, być może, będziesz musiał w ogóle ustąpić ze sceny.
- Weź klucze, przebierz się. Później przyślesz po mnie swego lokaja.
- Było to powiedziane stanowczym i ostrym tonem, tak że Alfonso usłuchał natychmiast i wyszedł, nie powiedziawszy ani słowa. Cortejo zwrócił się do córki:
- Popelniliśmy wielkie głupstwo paląc testament.
- Też tak myślę...
- Mielibyśmy Alfonsa w rękę, gdyby testament jeszcze istniał.
- A bez testamentu? Czy wszystko stracone?
- Chyba tak.
- Josefa poszła do swego pokoju. Tu otworzyła skrytkę w szafie i wyciągnęła jakiś papier. Był to testament.
- Roztropnie postąpiłam – rzekła do siebie – rzucając do pieca kawałek gazety zamiast te-
stamentu. Mam go teraz w rękę i potrafię to wykorzystać.
- Przebrawszy się, Alfonso zadzwonił na służącego i kazał mu zawołać sekretarza.
- Cortejo zjawił się natychmiast i usiadł obok Alfonsa.
- Jak ci się powodziło? – spytał. – Wygląd twój zdradza, że miałeś dużo przygód.
- Źle mi się wiodło. Opowiem ci później o wszystkim. Ale naprzód musisz mi, stryju, po-
wiedzieć, co tutaj zaszło. To przecież najważniejsze.
- Otrzymałeś mój list?
- Tak.
- I spotkałeś gońców?
- Jakich gońców?
- Więc ich nie spotkałeś?
- Nie.
- Z polecenia don Fernanda posłałem po ciebie dwóch ludzi.
- Aż dwóch? Powód musiał być ważny. Czy stało się to na skutek choroby hrabiego?
- Nie, z powodu pojedynku. Embarez zagroził hrabiemu, że ogłosi to w dzienniku urzędowym, jeżelibyś nie przybył na spotkanie w ciągu trzech dni.
- Do licha! Wyobrażam sobie minę starego.
- Nie miał wesołej. Po wysłaniu gońców do ciebie udał się do hrabiego Embareza, aby...
- By go prosić o przedłużenie terminu?
- Nie. Don Fernando był przecież człowiekiem honoru i nie chciał kalać swego nazwiska.
- Poszedł do hrabiego, aby się bić za ciebie.
- W takim razie cała sprawa jest załatwiona?
- Najzupełniej.
- Świetny pomysł miał stary hrabia, znakomity, zwłaszcza że śmierć nastąpiła zapewne na skutek pojedynku.
- Takie jest ogólne mniemanie.

- Więc umarł z innego powodu? Zaciekawiasz mnie, don Pablo!
- Cortejo wyciągnął z kieszeni list swego brata i dał bratankowi.
- Czytaj!
- Przeczytawszy, Alfonso zapytał:
- A więc ten list jest powodem śmierci don Fernanda?
- O tyle, o ile, bowiem don Fernando żyje.
- Żyje? Czyś ty oszalał?
- Wiem dobrze, co robię.
- Ależ to nonsens pozwolić mu żyć!
- Postaramy się, aby nam nie przeszkadzał. Umarł pozornie.
- Pozornie? To okropne! Jak to wymyśliłeś?
- Dałem mu jadu, który wywołał letarg. Po tygodniu obudzi się.
- A co dalej?
- Będzie wtedy na statku naszego poczciwego Landoli.
- Jak go tam przetransportujesz?
- W koszu.
- Trudna sprawa. Droga do portu jest dość uczęszczana.
- Dlatego pomyślałem o eskorcie. Ale skąd wziąć odpowiednich ludzi? W dodatku nie mogę im przecież powiedzieć, kogo mają pilnować.
- Pomogę ci.
- Ty? – zdumiał się Cortejo. – Masz ludzi pewnych, odważnych i niewścibskich?
- Mam. To eskorta, którą przywiozłem z hacjendy.
- Vaquerowie? Nie nadają się.
- To nie Vaquerowie, to Indianie.
- Chrześcijanie czy poganie?
- Poganie. Należą do szczepu Komanczów.
- Do szczepu Komanczów? – przeraził się Cortejo. – Chyba żartujesz?
- Skądże znowu. Mówię najszczerzą prawdę.
- To podobno straszni ludzie, rabusie, mordercy, złodzieje. Co prawda, nigdy w życiu nie widziałem żadnego Komancza.
- I ja ich nie znałem. Są stokroć straszniejsi od naszych dzikich Indian. Mimo to żyją ze mną w przyjaźni i będą ci wiernie służyć.
- To twoi przyjaciele? Odprowadzili cię aż tu, do Meksyku?
- Tak. Ukryli się w podmiejskich górach. Przeżyłem z nimi niemało. Muszę ci o tym opowiedzieć.
- Zaczął od przeżyć w hacjendzie. A potem o porwaniu Emmy i Karii, o jaskini ze skarbem królewskim, o swych walkach, o sadzawce krokodyli, nad którą wisiał i wreszcie o swym cudownym uwolnieniu.
- Cortejo słuchał z otwartymi ustami jakby skamieniały. W końcu zawołał:
- To nie do wiary! Więc widziałeś na własne oczy te olbrzymie skarby. I nie ma ich, zginęły?
- Tak. Dokąd je zabrano, wie tylko ten przeklęty Bawole Czoło i może jeszcze kilku Miksteków.
- Trzeba szukać, choćby całe lata! – gorączkował się Cortejo. Uczynię to teraz, wszak jestem właścicielem hacjendy. Pojadę tam ze szwadronem zbrojnych i rozpocznę poszukiwania. Dostaniesz szwadron, hrabiemu Rodrigandzie nie odmówię.
- Zemścę się na tej hołocie!
- Więc sądzisz, że mogę najać twoich Komanczów?
- Pomówię z nimi dziś wieczorem przy wypłacie. Obiecałem ich wynagrodzić, jeżeli wrócę cało. – Pojadę z tobą.

Postaraj się, aby otrzymali, co przyrzekłem. Wypiszę ci wszystko na kartce. A jeśli chodzi o dziedzictwo? Jesteś głównym spadkobiercą.

– Czy testament został już otwarty?

– Tak. Przedstawiciel władzy prosił, abym go zawiadomił o twym przybyciu.

– Więc zawiadam go czym prędzej.

– O mały włos nie straciłeś dziedzictwa. Hrabia sporządził drugi testament.

– Do diabła! Dlaczego?

Cortejo zdał szczegółowo sprawę. Gdy skończył, Alfonso powiedział:

– Trzeba wyrzucić tę starą Marię.

– Co za nierozwaga! Stara mogłaby wszystko rozpowiedzieć. Trzeba ją przekupić albo za pomocą podarunków, albo też w inny sposób.

– Ani mi się śni obdarowywać tę babę!

– A więc trzeba ją będzie unieszkodliwić. A teraz przede wszystkim musisz spełnić swój święty obowiązek.

– Jaki obowiązek?

– I ty się pytasz, człowieku?! Jesteś przecież bratankiem zmarłego. Co powie służba, gdy zobaczy, że nic cię nie obchodzi śmierć stryja?

– Uważasz, że powinienem trochę popłakać nad trumną?

– Oczywiście.

– Może mam się jeszcze modlić i przywdziać żałobę?

– Naturalnie.

– Dobrze już, dobrze. Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć. O Josefie.

– Mów, słucham.

– Co znaczą te dzisiejsze przesadne czułości?

– Przesadne? Nie uważam. Czy nie powinna się była ucieszyć z powrotu kuzyna?

– To nie była radość siostrzana! Mam wrażenie, że twoja córka kocha się we mnie.

– I ja mam takie samo wrażenie – odparł chłodno don Pablo.

– I nie wzbranasz jej tego?

– Żadne zakazy tu nie pomogą, serce nie sługa.

– Widzisz chyba, że miłość ta jest bardzo nie na miejscu?

– Nie, tego nie widzę.

– Nie? Więc uważasz, że możemy być małżeństwem?

– Nie uważam tego za niemożliwe.

– Nie jest przecież szlachcianką!

– Ty także nie jesteś szlachcicem.

– Przeciwnie! Od dziś jestem hrabią de Rodriganda.

– I ona może w dniu ślubu powiedzieć tak samo: od dziś jestem hrabiną de Rodriganda!

– Ależ jest ode mnie starsza, a do tego nieładna, nawet nieprzystojna!

– Nie będziesz więc miał powodu do obaw, że cię zdradza, a to wiele znaczy, mój drogi.

– Niech was diabli wezmą! – zawołał Alfonso.

– Jeżeli nas wezmą, to i ciebie z nami. Tworzymy jedną całość. Wszyscy troje związani jesteśmy najmocniejszym węzłem: zbrodnią. Nigdy w życiu nie potrafisz się nas pozbyć, o tym powinieneś pamiętać.

– A jeżeli spróbuję?

– Zginiesz!

– I wy razem ze mną!

– Nie sądę. Zastanów się dobrze, a zrozumiesz, że mamy nad tobą przewagę. Tym, kim jesteś, jesteś tylko dzięki nam. Żyjesz i zginiesz razem z nami. Tyle ci chciałem powiedzieć. A teraz idź do trumny hrabiego i staraj się dobrze odegrać swoją rolę.

Cortejo postawił sprawę jasno. Alfonso wiedział, czego chcą ojciec i córka. Decyzja należała teraz do niego.

Stanąwszy nad trumną don Fernanda, płakał tak głośno, że służba z całego serca litowała się nad młodym panem. Przeszkadzano mu w opłakiwaniu hrabiego, co chwila bowiem wchodził ktoś ze znajomych, aby po raz ostatni pożegnać zmarłego. Zwyczaj meksykański pozwala każdemu popatrzeć w twarz nieboszczyka, toteż przez wielką salę przesuwał się korywół ludzi. Część z nich przyszła zapewne nie dla oddania zmarłemu ostatnich posług, ale by obejrzyć wspaniałości hrabiowskiego pałacu.

W pewnej chwili podszedł do don Pabla człowiek, na którego widok sekretarz zląkł się nie na żarty. Był to Indianin Basilio, ten od trucizny.

– No więc, czy dotrzymałem słowa? – spytał.

Cortejo zaciągnął go do przyległego pustego pokoju.

– Na Boga! Czego tu szukasz? – zapytał.

– Niczego. Chętnie oglądam nieboszczyków – odpowiedział ze spokojem.

– Ale w jaki sposób dostałeś się tutaj?

– Znałem was od dawna. Domyślałem się dla kogo przeznaczono truciznę. Przyszedłem, aby przekonać się, jak działa.

– Kiedy się obudzi?

– Za tydzień, chociaż już teraz jest w pełni świadomy.

– Naprawdę? W takim razie słyszy, co się wokoło niego dzieje?

– Nawet widzi jednym okiem, które mu niezupełnie zamknięto.

– Ależ to niebezpieczne!

– To już wasza sprawa, panie. W każdym razie nie zapominajcie, senior, o swoim wiernym słudze!

Przed odejściem Indianin znacząco mrugnął okiem. Cortejo wyszedł za nim. Na korytarzu spotkał Alfonsa.

– Co to za indywiduum? O czym rozmawialiście? – zapytał hrabia, korzystając z tego, że byli sami.

– Ależ napędził mi strachu! To przecież Basilio.

– Jaki Basilio, co za Basilio?

Cortejo był jeszcze na pół przytomny z trwogi. Po chwili rozejrzawszy się dokoła, szepnął:

– To człowiek, od którego kupiłem truciznę.

– Do licha! Czy powiedziałeś mu, kim jesteś?

– Nie. Ale i tak to wie.

– Czy domyśla się, dla kogo była ta trucizna?

– Nie tylko się domyśla, ale wie na pewno.

Alfonso przestraszył się.

– Czy będzie milczał?

– Kto wie, czego się spodziewać po takich ludziach.

– Będzie cię nękał, niczym wyrzuty sumienia.

– Dam sobie z nim radę.

– Oby jak najszybciej.

– Dowiedziałem się od niego czegoś, co mnie bardzo zaniepokoiło. Don Fernando jest przytomny.

– To chyba niemożliwe?

– Słyszy i widzi wszystko.

– Okropne! – szepnął Alfonso.

Po chwili dodał z szyderczym uśmiechem:

– Ciekaw jestem, co sobie myślał, gdy patrzył na mój płacz i słuchał mego szlochu.

Wszedł lokaj z wiadomością, że przedstawiciel władz chce mówić z Alfonsem. Hrabia przyjął go w obecności don Pabla. Po krótkich formalnościach sprawa spadkowa została załatwiona. Alfonso został milionerem.

Wieczorem gdy wszyscy udali się na spoczynek, a przy zmarłym zostały tylko trzy płaczki, wyprowadzono przez tylną furtkę pałacu trzy konie. Dwa miały siodła kawaleryjskie, na trzeciego załadowano broń i rozmaitego rodzaju przedmioty. Alfonso i Cortejo dosiedli wierzchowców i ruszyli przez ciemne, opustoszałe ulice. Po godzinnej jeździe przybyli do podnóża gór, leżących na północ od miasta. W małej dolince paliło się ognisko, nie zastali jednak przy nim nikogo: Indianie ukryli się w obawie przed przybywającymi. Wrócili dopiero, gdy rozpoznali Alfonsa.

– A więc nasz biały brat dotrzymuje słowa – rzekł jeden z nich.

– Zawsze – potwierdził Alfonso wyniośle.

– Kimże jest druga biała twarz?

– Moim przyjacielem.

– Niech więc wypali z nami fajkę pokoju.

– Czy nie można by tego odłożyć? Nie mamy czasu.

– Na fajkę pokoju jest zawsze czas. Kto jej nie chce z nami wypalić, ten jest naszym wrogiem.

Nie pozostało przybyszom nic innego, jak zastosować się do zwyczaju. Usiedli więc na ziemi i fajka zaczęła krążyć z rąk do rąk. Dopiero po chwili zapytał jeden z Komanczów:

– Bracia moi przywieźli wszystko: strzelby, noże, olów i proch?

– Wszystko, a także perły i pierścienie dla waszych kobiet.

– Czy tyle, ile było umówione?

– Tak.

– A więc dobrze. Trzeba zdjąć to z konia. Czy biali bracia mają jeszcze coś do powiedzenia?

– Czy czerwoni bracia nie chcieliby otrzymać jeszcze więcej broni i kosztowności? – spytał Alfonso.

– Za jaką cenę?

– Za cenę ochrony tego oto człowieka, z którym wypaliliście fajkę pokoju.

– Czy jest w niebezpieczeństwie, że powinni go chronić czerwoni przyjaciele?

– Nie. Chce tylko dostać się stąd nad morze.

– Nad wielką, nieskończoną wodę?

– Tak, ale po drodze może spotkać wielu złych ludzi, więc potrzebna mu wasza ochrona.

– Jak długo trzeba jechać, by zobaczyć wielką wodę, po której pływają olbrzymie okręty?

– Pięć dni.

– Czy bracia nasi dadzą każdemu z nas po dwa noże i po dwa lustra, w których zobaczyć można własną twarz?

– Damy.

– I fajkę z drewna, a do niej tyle tytoniu, ile by się mogło zmieścić w ludzkiej głowie?

– Damy.

– W takim razie odprowadzimy białego brata nad wielką wodę.

Kiedy wyrusza?

– Za dwa, trzy dni.

– Mamy więc tu poczekać? W takim razie muszą nam biali bracia dać trochę okrągłego srebra, które białe twarze nazywają pieniędzmi, żebyśmy nie głodowali, a mogli sobie u białych kupić jedzenia

– Dobrze. Oto dziesięć pesos.

– Czy to wystarczy dla sześciu ludzi?

– Wystarczy.

– Więc dobrze. Howgh!

Otrzymałszy pieniądze, broń i kosztowności, Komancze wydali okrzyk radości. Najbardziej zachwyciły ich cygara, które Cortejo dodał ekstra.

Powróciwszy do domu, Cortejo wszedł jeszcze do sali, w której leżał don Fernando. Obok płaczków siedziała Maria. Podeszła do sekretarza ze słowami:

– Niech mi pan wybaczy, ale chcę zapytać, czy otwarty wczoraj testament jest tym samym, który leżał w środkowej szufladzie biurka hrabiego?

– Tak.

– Słyszałam, że don Alfonso został głównym spadkobiercą i że don Fernando wielu ludzi obdarował w testamencie. Czy i ja coś otrzymam?

– Dostaniesz tysiąc pesos i utrzymanie w pałacu do końca życia.

Maria popatrzyła ze zdumieniem na don Pabla.

– Tak było w zapisie? W takim razie to nie ten testament.

– A to dlaczego?

– Ponieważ hrabia co innego obiecał mi i zapisał w testamencie. Miałam otrzymać pozwolenie na powrót do ojczyzny, do Hiszpanii i tyle pieniędzy, abym mogła żyć tam bez pracy i bez trosk aż do śmierci.

– Napisał to w testamencie? Kiedy?

– Wczoraj przed pojedynkiem. Sporządził nowy testament, położył na nim pieczęć i dał mi do przechowania. Po powrocie hrabiego z pojedynku przyniosłam mu ten dokument.

– Gdzie go włożył?

– Do środkowej szuflady biurka.

– Muszę o tym powiedzieć z przedstawicielem władz obecnym przy objęciu spadku.

– Pomówcie z nim, panie. Teraz gdy pan mój nie żyje, nie chciałabym tu dłużej pozostawać.

– A jeżeli tego, o czym mówiłaś, nie ma w testamencie?

– W takim razie otworzono fałszywy testament.

– Czy były dwa? Skąd takie przypuszczenia?

– Hrabia mówił mi o tym.

– Dlaczego napisał drugi testament?

– Tego nie mogę powiedzieć. Chciałabym tylko powiedzieć z przedstawicielem władz, aby odszukał drugi testament.

– Pomówię z nim sam. Zakomunikuję ci później, co postanowił.

Cortejo odszedł, przeklinając babę, która mogła mu jeszcze sprawić wiele kłopotu. Następnego dnia odbył się pogrzeb hrabiego de Rodriganda y Sevilla. Wzięły w nim udział najbogatsze sfery miasta. Don Fernando pochowany został w grobowcu, który kazał wybudować sobie jeszcze za życia.

Powróciwszy z pogrzebu, Alfonso udał się do swego pokoju i pogrążył w rozmyślaniach, jak też będzie używał swej magnackiej fortuny. Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Josefa.

Alfonso zerwał się, zaskoczony tą niespodziewaną wizytą. Nie mógł w pierwszej chwili uwierzyć w zuchwałość dziewczyny.

– Czego tu chcesz? – zapytał.

– Pomówić z tobą.

– Dlaczego nie kazałaś się zameldować?

– A czy ty każesz się meldować, kiedy do mnie przychodzisz?

– To co innego. Pomyśl, co powie moja służba, gdy zobaczy, jak mi składasz wizyty.

– Dowie się, że jesteśmy krewnymi – odpowiedziała z ironią.

– Zwariowałaś?

– Milcz. Nie unos się. Nikt jeszcze o tym nie wie, ale bardzo możliwe, że wszyscy będą wiedzieli. I to ode mnie.

– Chyba raczysz żartować?

– Mówię poważnie, wcale mi nie do żartów.

– Więc może mi powiesz, co jest powodem twego złego humoru?

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Dlaczego nie poprosisz mnie, abym usiadła?

– No więc siadaj!

– Obraziłeś mnie.

– Czymże to?

– Czy nie powiedziałeś, że jestem brzydka i stara?

– Owszem, powiedziałem.

Alfonso odpowiadał krótko, z hamowaną ironią. Josefa wpijając w niego swoje oczy, coraz bardziej bladła ze złości.

– To znowu kolejna zniewaga!

– Czy chcesz mnie wyzwąć na pojedynek?

– Nie. Wiem przecież, że jesteś tchórzem i uciekniesz. Za to ja jestem odważna.

– Czekam z niecierpliwością, aby się o tym przekonać.

– Przekonasz się. Ale przedtem proszę cię po raz ostatni, abyś mnie wysłuchał. Chcę zostać hrabiną de Rodriganda nie dlatego, że dziedzictwo zawdzięczasz memu ojcu i mnie, ale dlatego, że cię bardzo kocham!

Mała karawana wyjechała przez tylną bramę pałacu. Dwa konie były osiodłane, dwa zaś objuczone: jeden dźwigał żywność, drugi kosz, wysoki na jakieś sześć stóp. Jechano na cmentarz. Tam przywiązano konie. Alfonso i don Pablo otworzyli grobowiec Rodrigandów, zeszli na dół i po ciemku zdjęli wieko trumny. Zachowując najgłębsze milczenie, wynieśli hrabiego, po czym zamknęli trumnę i grobowiec. Włożywszy ciało do kosza, galopem opuścili cmentarz.

Alfonso wrócił dopiero nad ranem. Wyczerpany przeżyciami nocy, udał się na spoczynek.

Obudziwszy się bardzo późno, zjadł wystawne śniadanie, a następnie przeszedł do pokoi, które zamieszkiwał stary hrabia. Wertując papiery don Fernanda, natrafił wśród nich na jeden, po którego przeczytaniu głośno zaklął. Pismo brzmiało, jak następuje:

Ja, hrabia Fernando de Rodriganda y Sewilla, stwierdzam własnoręcznie, że senior Pedro Arbellez otrzymał w dzierżawę hacjendę del Erina, z tym, że stanie się wyłącznym jej właścicielem po mojej śmierci. Odpis tego pisma znajduje się w rękach dzierżawcy.

Pod pismem była data jego wystawienia, pieczęć urzędowa oraz podpis hrabiego.

– Do diabła! – zaklął ponownie Alfonso. – Ten stary lis Arbellez umiał się urządzać. Ja zaś wyrażając zgodę na śmierć hrabiego, sam sobie zaszkodziłem. Trzeba więc będzie zemstę odwlec.

Nie zdążył jeszcze odłożyć pisma, gdy zapukano do drzwi. Weszła Maria. Alfonso obrzucając ją wrogim spojrzeniem, zapytał szorstko:

– Czego chcesz?

Odpowiedziała z zakłopotaniem:

– Chciałabym prosić o zwolnienie ze służby.

Co ta baba knuje? – pomyślał. Czy chce odejść jedynie po to, by mieć wolną rękę? Nie, chyba nie. A może dobrze byłoby pozbyć się starej? Udał zdziwienie:

– Dlaczego chcesz odejść? Nie podoba ci się u nas?

– Jestem stara, nie wiem, czy podołam obowiązkom.

– Dokąd chcesz się udać?

– Do don Pedra Arbelleza. Wiem, że mnie zawsze chętnie przyjmie.

Alfonso był zachwycony. Niech jedzie do hacjendy! Im dalej od stolicy, tym lepiej.

– A więc, jeżeli taka twoja wola, nie będę cię zatrzymywał. Wyznaczam ci dożywocie, byś nie miała żadnych trosk.

Tym razem naprawdę dotrzymał słowa. Poszedł nawet jeszcze dalej, żeby się tylko pozbyć starej. Wręczywszy jej pieniądze i wyposażywszy w potrzebne do drogi przedmioty, przede wszystkim zaś w dobrego muła, wyznaczył służącego, który miał odwieźć ją do hacjendy.

Po dwóch dniach Maria opuściła pałac.

Alfonso pod nieobecność Corteja spędzał czas na przyjmowaniu gości i składaniu wizyt. Tak doskonale odgrywał rozpacz osieroconego bratanka, że wzbudził sympatię i współczucie wszystkich znajomych. Podczas nieobecności Pabla otrzymał z Hiszpanii list, który podsunął mu nowy pomysł.

Don Cortejo powrócił po ośmiu dniach. Alfonso natychmiast przywołał go do siebie.

– Jakże się powiodło?

– Bardzo dobrze.

– Kamień spadł mi z serca. Gdzie są Indianie?

– Rozstałem się z nimi w Veracruz, nagrodziwszy wedle umowy. Wrócili do swoich siedzib. Ale czy to prawda, że musisz jechać do Hiszpanii?

– Tak. Otrzymałem list od hrabiego Manuela.

– Czy mogę go przeczytać?

– Proszę. Jest bardzo krótki.

Kochany Alfonso! – czytał *Cortejo*. – Kazałem ci już powiedzieć przez don Pabla, że oczekuję cię na zamku Rodrigandów z wielką tęsknotą. Moja choroba oczu czyni zastraszające postępy. Chciałbym więc jeszcze koniecznie zobaczyć ciebie, moją jedyną podporę. Oczekuję twego przybycia.

Twój ojciec Manuel, hrabia de Rodriganda y Sevilla.

– Jakie masz zamiary?

– Jadę. Poczyniłem już potrzebne do drogi przygotowania.

– Dobrze sobie radzisz. Sprawy nasze układają się coraz lepiej.

Tu jesteś dziedzicem, tam zostaniesz zastępcą hrabiego we wszystkich sprawach. Jego ślepotą to szczęście dla nas.

– Tak. Teraz już nie ma obawy, aby mógł stwierdzić, jak bardzo jestem podobny do twego brata, mój stryju – dodał Alfonso.

– Trzeba zrobić wszystko, aby nie wyzdrowiał.

– Już ja się tym zajmę.

– A Roseta, twoja „siostra”? Może ona zauważy podobieństwo?

– Nie boję się tego.

– W takim razie powinieneś pojechać tam natychmiast. Zastąpię cię we wszystkim.

– Po tych słowach utkwiał w nim ostry, badawczy wzrok:

– A jak sprawy z Josefą? Czyście rozmawiali z sobą?

Doszliście do porozumienia?

– Do porozumienia? – powtórzył jak echo Alfonso udając, że nie rozumie, o co chodzi. – Czyśmy się kłócili, czy było między nami jakieś nieporozumienie?

– Pożegnasz się jeszcze z nami przed odjazdem?

– Oczywiście – odparł Alfonso zawahawszy się przez moment.

– Pójdę przywitać się z Josefą, nie widziałem jej jeszcze od powrotu.

Córka ucieszyła się z przyjazdu ojca. Nie uszedł jednak uwagi Corteja jej zły humor.

– Widziałam, jak przyjechałeś. Byłeś u Alfonsa? Mówił o mnie?

- Zdawkowo. Nie widzieliście się podczas mojej nieobecności?
- To on mnie unikał. Czy wiesz o tym, że wyjeżdża do Hiszpanii?
- Wiem. Przyjdzie pożegnać się z nami.
- Nie wierzę. Pójdę do niego sama.
- Czy potrafisz go zmusić?
- Tak – odpowiedziała twardo.
- Wątpię.
- Zostaw już mnie tę sprawę. Czy pójdziesz razem ze mną?
- Oczywiście.
- Więc chodźmy!

Zastali Alfonsa zajętego pakowaniem rzeczy. Na ich widok nie ukrywał niezadowolenia. Czuli, że chce się ich pozbyć za wszelką cenę.

- Wyjeżdżasz? – zapytała Josefa.
- Tak – mruknął.
- Czy zastanowiłeś się nad tym, co ci powiedziałam w dniu wyjazdu ojca do Veracruz?
- Nie przypominam sobie.
- Powiedziałam, że cię kocham i że dlatego chcę zostać hrabiną de Rodriganda.

Alfonso roześmiał się szyderczo:

– A tak, do diaska, przypomina mi się teraz, żeś sobie pozwoliła na ten żart. Mam nadzieję, że ci już wywietrzył z głowy?

– Ani trochę!

– Więc zapamiętaj: ożenię się, z kim chcę, w każdym razie nie z tobą. Nigdy, rozumiesz, nigdy!

Alfonso był pewien, że Josefa wybuchnie. Pomylił się jednak, bo ona nie tracąc spokoju powiedziała:

– A jednak ożenisz się ze mną.

– Nie bądź śmieszna! Domyślam się, co zamierzasz. Jednak na nic się to zda! – Patrzył prosto w jej sowie oczy: – Chcesz mnie zmusić, abym uczynił cię hrabiną de Rodriganda, grozisz, że zdradzisz moje prawdziwe pochodzenie?

– Tak – odrzekła spokojnie.

– Proszę cię raz jeszcze, nie bądź śmieszna! Tego się nie lękam, bo to obróci się również przeciw tobie i twojemu ojcu. Jesteście przecież moimi współnikami.

– Musiałbyś dowieść, a to nie takie proste. Cóż bowiem byś zrobił, gdyby istniał drugi testament?

Alfonso odparł z ironią:

– Już dawno jest spalony!

– Nie, to nieprawda – Josefa powiedziała to tak pewnym tonem, że Alfonso zaniepokoił się nie na żarty. Don Pablo, nie mniej od niego zdziwiony, zapytał:

– Więc nie spaliłaś testamentu?

– Nie.

– Widziałem przecież na własne oczy.

– Widziałeś, jak spłonęła gazeta – zaśmiała się córka. – Jacyście naiwni! Chciałeś ojcie, zniszczyć testament, który jest przecież cudowną bronią przeciw tak zwanemu hrabiemu de Rodriganda.

– Sprytnieś to urządziła, nie ma co! – zawołał Cortejo.

– Ona kłamie – rzekł Alfonso.

– Mówię najszczerzą prawdę.

– Gdzie ten testament?

– Tu, w mojej kieszeni.

Alfonso nie ustępował jeszcze:

– Pokaż, nie wierzę.

– Patrz! – zawołała, wkładając ręce do obu kieszeni.

Gdy Alfonso zobaczył testament w jej lewej ręce, rzucił się, by go wyrwać. Wtedy ujrzał w prawej ręce sztylet, zwrócony ostrzem przeciw sobie.

Przerażony cofnął się, mamrocząc:

– Na miłość boską, chcesz mnie zabić?!

– Nie – odrzekła – ale nie masz mi chyba za złe, że bronię swojej własności.

– Własności? Ten testament należy do mnie!

– Do ciebie?! I przysięgam ci na wszystkie świętości, że przedstawiciele władz otrzymają go, jeżeli przed odjazdem nie zaręczysz się ze mną na piśmie.

– Co za bezczelność!

– A czy to nie bezczelność nazwać mnie starą i brzydką?

– Nie przeciągaj struny!

– Dlaczego nie? A zresztą, jestem pewna, że i ojciec będzie po mojej stronie.

– Z pewnością – potwierdził Cortejo. – Testament jest bronią, której nie odeprzesz. Przyślano cię tu jako hrabiego Rodrigandę, mogłem więc nie mieć pojęcia, że nim nie jesteś. Liście, które posiadam, spalę. Chciałbym więc wiedzieć, w jaki sposób potrafisz mnie oskarżyć.

– Oboje jesteście nikczemni!

– Być może, ale nie lubię mieć do czynienia z niewdzięcznikami. Otrzymujesz z mojej ręki nieprzebrane bogactwa, w zamian za to musisz ożenić się z Josefą!

– Wolę ożenić się z diabłem!

– To twoje ostatnie słowo? – zapytała dziewczyna.

– Ostatnie.

– Dobrze.

Powiedziawszy to odwróciła się ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? – zawołał Alfonso.

– Zawiadomić o testamencie kogo należy.

– Do licha! Czy naprawdę wyobrażasz sobie, że jako moja żona mogłabyś być szczęśliwa?

– Tak. Dam ci zupełną swobodę, ale muszę zostać hrabiną de Rodriganda.

– Przecież to niemożliwe! Co powie hrabia Manuel, gdy bez jego wiedzy ożenię się z córką sekretarza jego brata?

– Tego wcale nie wymagam. Możesz czekać ze ślubem do śmierci hrabiego Manuela, żądam tylko, abyś dał mi pisemną gwarancję, że jestem twoją narzeczoną.

Alfonso myślał przez chwilę.

– Czy jeśli ci ją dam, zwrócisz mi testament?

– Nie. Otrzymasz go dopiero w dniu naszego ślubu. Ale oświadczenie, którego żądam, daje ci z mojej strony zupełną wolność. Możesz jechać, dokąd chcesz.

Alfonso skinął głową.

– Dobrze, napiszę jak sobie życzysz.

– Nareszcie zrozumiałeś. Lecz nie myśl, że teraz już wszystko załatwione i że możesz nie dotrzymać słowa. Gdybyś je złamał, potrafię zemścić się straszliwie!

Deklarację, przygotowaną przez Josefę, Alfonso podpisał zgrzytając zębami. W jakiś czas później wyruszył do portu, aby odpłynąć do Hiszpanii.

W chwili gdy statek opuszczał przystań, na nabrzeże przybyli dwaj jeźdźcy na spienionych koniach – Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce. Z powodu choroby Piorunowego Grota musieli zatrzymać się czas jakiś w hacjendzie. Przyjechawszy wreszcie do Meksyku, dowiedzieli się, że hrabia poprzedniego dnia opuścił stolicę. Co koń wyskoczy popędzili za nim do przystani, aby dokonać zemsty. Niestety, spóźnili się, statek właśnie wypływał na morze.

Lekarz z Paryża

Od czasu wypadków, które opisaliśmy, minęło pół roku. W kierunku hiszpańskiego miasta Manresa, położonego w Katalonii, jechał od strony południowego stoku Pirenejów jakiś człowiek. Wyglądał na lat trzydzieści. Był mocnej budowy, wysoki, muskularny, nic więc dziwnego, że miał pod sobą krzepkiego muła. Na pierwszy rzut oka widać było, że jeździec odznacza się dużą siłą fizyczną. A że siłacze bywają łagodni jak baranki, z jego twarzy przebijała niezwykła dobroduszość. Jasny kolor włosów i rysy zdradzały, że nie jest to południowiec, choć skórę miał spaloną od słońca. Taki jak jego wzrok – ostry i przenikliwy – spotyka się u marynarzy, myśliwych lub podróżników po dalekich krajach. Nosił ubranie z doskonałego materiału, skrojone według mody francuskiej. Za siodłem tkwił jakiś pakunek, który musiał być dla niego cenny, gdyż raz po raz sięgał tam ręką i sprawdzał, czy przypadkiem nie zginął.

Do Manresy przybył pod wieczór. Na rynku, zwanym tu plaza, zwrócił jego uwagę świeżo zbudowany dom z napisem: HOTEL „RODRIGANDA”. Osadził muła i zeskoczył z siodła.

Teraz dopiero można było się przekonać, że jest olbrzymem o pięknej, ujmującej powierzchowności. Zostawił muła służbie i wszedł do wykwintnego westybulu hotelowego. Jakiś człowiek podniósł się na jego spotkanie.

– Buenas tardes – rzekł podróżny.

– Buenas tardes – brzmiała odpowiedź. – Jestem tu gospodarzem. Czy chce pan wynająć pokój?

– Nie. Proszę mi tylko dać coś do zjedzenia i flaszkę „Vino regio”.

Gospodarz wydał służbie odpowiednie polecenia, po czym spytał:

– Więc nie ma pan zamiaru przenocować u nas?

– Zamierzam dziś jeszcze stanąć na zamku Rodrigandów. Jak to daleko stąd?

– Będzie pan tam w ciągu godziny. Miałem z początku wrażenie, że nie miał pan zamiaru zatrzymać się przed naszym hotelem.

– To prawda. Ale pociągnęła mnie jego nazwa. Dlaczego nazwano hotel imieniem Rodrigandów?

– Byłem dłuższy czas służącym hrabiego i jedynie dzięki jego łaskawości mogłem wybudować sobie ten hotel.

– Zna pan więc dobrze sprawy i otoczenie hrabiego?

– Doskonale.

– Jestem lekarzem. Jadę, by się hrabiemu przedstawić. Niechże mi pan powie, kogo zastanę na zamku.

Gospodarz rad, że może pogawędzić, odpowiedział:

– Zaraz panu służę wszelkimi informacjami. Po wymowie pańskiej poznaję, że jest pan cudzoziemcem. Zapewne chory hrabia wezwał pana do siebie?

Przybysz zawahał się przez chwilę, po czym rzekł:

– Jestem Niemcem, nazywam się Sternau. Przez dłuższy czas byłem asystentem profesora Letourbiera w Paryżu. Poproszono mnie, abym przyjechał jak najspieszniej na zamek Rodrigandów.

– Ach tak! Może nie zastanie już pan hrabiego przy życiu. Od pewnego czasu oślepl zupełnie, oprócz tego choruje na kamienie żółciowe. Tylko operacja może mu przywrócić

zdrowie. Hrabia już się na nią zdecydował. Wezwano dwóch najslawniejszych chirurgów, lecz zupełnie niespodziewanie sprzeciwiła się operacji córka hrabiego, hrabianka Roseta. Mimo to operacja miała się podobno odbyć dzisiaj.

– W takim razie przybywam za późno! – zawołał Sternau, zrywając się z miejsca. – Muszę tam jechać natychmiast, może jeszcze zdążę.

– Nie przypuszczam. Przecież żaden lekarz nie operuje wieczorem. A może jednak znowu odłożono termin, chociaż lekarze, a zwłaszcza syn hrabiego, ponaglają.

– To hrabia Manuel ma też syna?

– Tak. Hrabiego Alfonsa, który wiele lat przebywał w Meksyku u swego stryja. Niedawno przybył tutaj z powodu choroby ojca.

– Czy zna pan niejakiego Mindrella?

– Zna go każde dziecko. To biedny, poczciwy człowiek, choć podejrzewają go o kontrabandę. Stąd też ma przydomek: Przemytnik. Mimo to może pan mu zaufać. Jest lepszy i uczciwszy od niejednego, który nim pomiata.

– Dziękuję panu. Muszę jechać dalej. Buenas noches.

– Buenas noches. Życzę panu przybycia na czas do hrabiego. Doktor Sternau zapłacił rachunek, wskoczył na muła i pognął galopem. Dzień chylił się już ku końcowi i jeździec stracił nadzieję, że dotrze na zamek przed nocą. Korzystając z ostatnich promieni słońca, wyciągnął z kieszeni złożony starannie list i zaczął go czytać, choć treść znał doskonale.

List pisany wprawną ręką kobiecą brzmiał następująco:

Mr. Sternau, le docteur, Paris, 24, rue Vaugirard.

Drogi Przyjacielu

Pożegnaliśmy się wprawdzie przekonani, że nie spotkamy się nigdy w życiu, ale pewne okoliczności zmuszają mnie do usilnej prośby, by jednak zechciał pan zobaczyć się ze mną. Musi senior uratować życie hrabiego Rodrigandy! Niech pan przyjeżdża jak najprędzej ze swoimi instrumentami. Niech pan zasięgnie o mnie informacji u Mindrella Przemytnika. Błagam, niech senior natychmiast przyjeżdża!

Roseta.

Przeczytawszy, Sternau z powrotem włożył kartkę do kieszeni. Jechał teraz przez gęsty las. Nie patrzył jednak ani na drzewa, ani na drogę. Myślał o Paryżu i o dniu, w którym poznał autorkę przeczytanego przed chwilą może po raz setny listu.

Było to w Jardin des Plantes. Siedziała na ławce. Uderzyła go od razu jej niezwykła uroda. Poczul, że skronie mu pulsują, że serce zamiera. Ta kobieta jest moim przeznaczeniem – pomyślał. Godzina spędzona razem miała decydujące znaczenie i dla niego, i dla niej. Narodziła się miłość. Dziwna miłość. Spotykali się tylko w parku.

Była damą do towarzystwa hrabianki Rosety de Rodriganda, która bawiła w Paryżu ze swym ślepym ojcem. Dziewczyna powiedziała Sternauowi, że z pewnych przyczyn, których nie może zdradzić, postanowiła nigdy nie wychodzić za mąż. Szczęśliwy, że znalazł wzajemność w jej sercu, tym bardziej bolał nad owym postanowieniem. Prosił, błagał, ale daremnie. Oczy jej zachodziły łzami, lecz nie ustępowała. Po pewnym czasie wyjechała z Paryża. Przed wyjazdem musiał jej przyrzec, że nigdy nie będzie się dowiadywał o nią.

Nagle otrzymał ten list. Bez zastanowienia, bez wahania przygotował się do podróży. Przejechał całą Francję, przebył Pireneje. Teraz zbliżał się do celu. Za chwilę miał zobaczyć ukochaną kobietę.

Słońce właśnie zachodziło, gdy przybył do wsi Rodrigandów. Wyglądała o wiele milej aniżeli inne wsie hiszpańskie. Ulica była szeroka i schludna, domy otoczone ogrodami lśniły

czystością. Hrabia Rodriganda był, jak widać, nie tylko panem, ale i ojcem swych poddanych, dbał o ich dobrobyt.

Sternau zapytał pierwszego ze spotkanych przechodniów, gdzie mieszka Mindrello. Poinformowano go, że na samym krańcu wsi. Kiedy podjechawszy pod dom wszedł do środka, zastał kilka osób przy skromnej wieczerzy.

– Który z was jest Mindrellem? – zapytał.

– To ja – odpowiedział silny i krępy mężczyzna, podnosząc się od stołu.

Twarz miał pogodną i budzącą zaufanie.

– Czy zna senior towarzyszkę hrabianki de Rodriganda?

– Jak się nazywa? – zapytał Mindrello.

– Roseta.

– Matko Boska z Cordoby, więc wyście pan Sternau z Paryża?

– Tak, to ja.

Wszyscy członkowie rodziny wstali od stołu i wyciągnęli ręce do doktora. Dzieci naśladowały dorosłych.

– Serdecznie witamy! – zawołał Mindrello. – Przybywa pan w samą porę. Condesa, nasza dobra pani Roseta, jest bardzo zaniepokojona. Zaraz po nią poślę.

– Czy hrabiego operowano dzisiaj?

– Jeszcze nie. Hrabianka tak długo błagała, że powtórnie odłożono operację, ale jutro ma się odbyć na pewno. Hrabianka była przekonana, że pan przybędzie na czas, doktorze.

– Więc wie o liście, który pisała do mnie jej towarzyska?

– Oczywiście, że wie... – odpowiedział Mindrello z pewnym zakłopotaniem. – Panie doktorze, przygotowaliśmy maleńki pokoik tam na górze, gdzie stoją kwiaty w oknie. Zaprowadzę pana i podam wieczerzę.

– A co będzie z moim mułem?

– Zaopiekuje się nim nasz sąsiad.

Mindrello zaprowadził doktora po wąskich schodach do niskiego, ale bardzo czystego i schludnego pokoiku. Po chwili przyniesiono wieczerzę, po czym Sternau stanął w oknie, by rozkoszować się wspaniałym widokiem na zamek. Budowla ta, pochodząca z czasów mauretańskich, tworzyła wielki czworobok otoczony drzewami. Zamek, choć zbudowany z masywnego kamienia, wyglądał jak strzelisty zgrabny minaret. Otoczony ciemnymi lasami, sprawiał teraz, o zachodzie słońca, wrażenie jakiejś fantastycznej budowli orientalnej.

Słońce skryło się za horyzontem. Zapadł mrok. Sternau zapalił lampę i oglądał swoje instrumenty, które mu przyniósł gospodarz, nim zaprowadził muła do sąsiada.

Po chwili ktoś zapukał.

– Proszę! – zawołał.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich ta, za którą tak bardzo tęsknił od chwili rozstania.

– Roseta! – Nie mógł powiedzieć ani słowa więcej.

– Senior Carlos, więc pan mnie jeszcze nie zapomniał?

– Ja miałbym panią zapomnieć? Nigdy!

– A jednak będzie pan musiał. Dziś jeszcze wolno nam się widzieć. Dziękuję, że pan przyjechał. Pomówmy teraz o tym, co mnie skłoniło do wezwania pana.

– Wiem tylko tyle, że życie hrabiego wisi na włosku. Słyszałem, że czeka go operacja.

– Tak, ale są inne sprawy, które mnie dręczą. Sprawy, o których mogę mówić tylko z panem. Hrabiemu grozi coś więcej niżeli choroba. Ale teraz, gdy pan tu przybył, jestem spokojna. Sternau wyciągnął do niej rękę.

– Więc aż tak mi pani ufa? Czy kochasz mnie jeszcze, Roseto?

Podając mu rękę, rzekła:

– Tak, kocham pana tak samo jak przy naszej rozłące i tak samo, jak będę cię zawsze kochała, Carlosie. Byłam dotychczas dla pana zagadką, jutro pan ją rozwiąże, a wtedy zrozumie, że rozstanie nasze jest koniecznością.

– Dlaczego jutro, dlaczego nie dzisiaj?

– Za ciężko mówić mi o tym teraz. Jestem szczęśliwa, że w ogóle możemy być razem, rozmawiać ze sobą. Przejdźmy do sprawy, z której powodu pana wezwałam. Jak panu wiadomo, hrabia dawno stracił wzrok. Do tego nieszczęścia doszło nowe, niezwykle bolesne: kamienie żółciowe. Lekarze twierdzą, że tylko operacja może uratować mu życie. Hrabia zdecydował się na zabieg. Hrabianka jednak jest przeciwna. Kocha ojca bardzo, przez wiele lat była nie tylko jego „oczami”, ale i jedyną przyjaciółką. Modli się po całych dniach i nocach, aby Bóg uratował jej ojca. Lekarze, którzy są przy nim, to ludzie zimni i hrabianka nie ma do nich zaufania. Notariusz Cortejo i pani Clarisa, nie odstępujący łóża don Manuela, sprawiają wrażenie wampirów żądnych krwi chorego, o synu zaś hrabiego, Alfonso, lepiej nie mówić. Biedna, biedna hrabianka. – Po tych słowach Roseta rozplakała się.

Sternau rzekł miękko i serdecznie:

– Niechże pani nie płacze! Niech mi pani wszystko opowie.

– Dobrze, opowiem. Condesa rozstała się ze swym bratem we wczesnym dzieciństwie. Po osiemnastu latach brat wreszcie wrócił. Przy powitaniu jednak zamiast się cieszyć, przestraszyła się tego człowieka. Był brutalny, nieserdeczny. Coś jej mówiło, że oczy jego nie są oczami jej brata, głos nie jego głosem. Później obserwując go zauważyła, że każde spojrzenie brata na ojca zdawało się mówić: czekam tylko na twoją śmierć! W przeczuciu jakiejś fatalnej tajemnicy zwróciła się do mnie, abym napisała do pana.

– Zrobię, co będę mógł! Operacja ma się odbyć jutro?

– Tak. To termin ostateczny. Podobno naznaczono ją na jedenastą

– Czy sądzi pani, że będę mógł przedtem zobaczyć hrabiego?

– Jeżeli pan się zamelduje u hrabianki. Niech pan stawi się u niej o dziewiątej. Czy operował pan już kiedyś kamienie żółciowe?

Sternau uśmiechnął się szeroko:

– Nawet często. To moja specjalność.

– Czy operacja jest niebezpieczna?

– Tego nie można nigdy przewidzieć. Przekonam się jutro.

– Więc do jutra. Mam do pana bezgraniczne zaufanie, pan jeden może przynieść ratunek, o ile jest on jeszcze możliwy.

Skierowała się ku drzwiom.

– Już pani odchodzi?

– Muszę. Więc jutro o dziewiątej?

– Czy mogę przynajmniej panią odprowadzić?

– Dobrze. Jest ciemno, nikt nas nie zobaczy.

Gdy opuścili domek, podał jej ramię.

Szli w milczeniu. Przy furtce ogrodowej Sternau długo całował rękę Rosety.

– Dobranoc, Carlosie – powiedziała.

– Dobranoc.

Miał już odejść, gdy dziewczyna jeszcze raz ujęła jego rękę i wyszeptwała:

– Mój najdroższy, nie gniewaj się, przebacz mi i bądź szczęśliwy.

Po tych słowach zniknęła w zamkowym ogrodzie.

Gasparino Cortejo

W czasie gdy Roseta żegnała doktora, w pokoju zamkowym – zamieszkiwanym przez jednego z chirurgów, którzy w asyście lekarza z Manresy mieli operować hrabiego – toczyła się osobliwa rozmowa.

– Więc przypuszcza pan – spytał ostrym tonem notariusz Gasparino Cortejo – że operacja będzie śmiertelna?

– Z całą pewnością.

– Czy pana koledzy nie będą protestowali?

– Nie odważą się mi sprzeciwić. Należę przecież do sław chirurgicznych – odparł lekarz z dumą.

– Hrabia wierzy, że będzie uratowany?

– Tak.

– A więc operacja odbędzie się jutro, bez wiedzy hrabianki, o ósmej rano. Niemal królewskie honorarium otrzyma pan w moim mieszkaniu w Manresie. Dobranoc.

– Dobranoc.

Pożegnawszy się jak dwaj najwyższej klasy dżentelmeni, rozeszli się. Cortejo kazał zameldować się u seniory Clarisy. Oczekiwała go tak niecierpliwie, że wybiegła na jego spotkanie do przedpokoju. Wszedłszy wraz z nim do pokoju, zamknęła drzwi na klucz, aby nikt nie mógł przeszkodzić w rozmowie. Cortejo ubrany był na czarno. Jego długa, chuda, pochylona postać wykonywała ruchy tak osobliwe, jak gdyby się skradała. Otoczona wysokim, sztywnym kołnierzem twarz miała wyraz drapieżnego ptaka, co budziło lęk.

Clarisa była wysoką i tęgą pięćdziesięcioletnią kobietą o ostrych, niemal męskich rysach; na jedno oko zezowała.

– Witaj, Gasparino – rzekła siadając na obitej aksamitem kanapie. – Długo musiałam na ciebie czekać. No i co?

– Wszystko w porządku – odparł, sadowiac się obok niej. – Chirurg zgodził się na moją propozycję.

– Nareszcie! Czy cięcie będzie śmiertelne?

– Z pewnością.

– Trudno – westchnęła, bogobojnie spuszczać oczy. – Lepiej dla hrabiego, że Pan oszczędzi mu cierpień. A czy hrabianka tym razem nam nie przeszkodzi?

– Nie, moja droga. Jest przekonana, że operacja będzie o jedenastej. Tymczasem chirurdzy rozpoczną ją o ósmej. Wszystko się skończy, zanim condesa zdąży się ubrać.

– A hrabia Alfonso? – zapytała zezując.

– Nadaje się doskonale do naszego planu.

– Po tylu latach szczęście się do nas uśmiechnęło, mój stary! Nigdy nie zapomnę, jak się nacierpiałam! Ta niechęć mojego ojca, dumnego hidalgo do ciebie, biedaku! Ten nasz potajemny ślub! I synek, którego musielibyśmy z pewnością usunąć, gdybyś nie wpadł na genialny pomysł wysłania go do Meksyku, do brata hrabiego Manuela, zamiast małego hrabiego Alfonsa. Teraz jesteśmy rodzicami hrabiego i jutro miliony rodu Rodrigandów będą naszą własnością. No, usiądź wygodniej, pomarzemy trochę o cudownej przyszłości.

Sternau nie mógł zasnąć. Spotkanie z ukochaną odebrało mu spokój. Całą noc chodził po pokoju z kąta w kąt. O świcie osiodłał muła i pojechał na spacer, nie troszcząc się zupełnie o cel przejażdżki i kierunek. Po pewnym czasie znalazł się w Manresie na ulicy prowadzącej do „Rodrigandy”, tej samej, przy której zatrzymał się wczoraj. Przed samotną oberżą stał przywiązany koń pod siodłem, co wskazywało, że w oberży jest jakiś gość. Sternau zsiadł z muła. Był głodny, miał ochotę na filiżankę kawy. Wszedłszy do środka zobaczył niezbyt elegancko ubranego jegomościa, przed którym leżały przyrządy chirurgiczne. Był to, o czym Sternau oczywiście nie wiedział, lekarz, który miał asystować przy operacji hrabiego.

Gospodarz, przyjmawszy zamówienie nowego gościa, wrócił do rozmowy z owym mężczyzną.

– A więc, doktorze, jedzie pan do hrabiego?

– Mówiłem już, że tak.

– Więc dziś nareszcie odbędzie się operacja?

– Tak. O ósmej rano.

– Ale condesa znowu się nie zgodzi!

– Nikt jej nie będzie pytał. Powiedziano jej zresztą, że operacja rozpocznie się o jedenastej.

– Sądzi pan, że hrabia wyzdrowieje?

– Może tak, może nie, kto to wie?

Sternau słyszał wszystko. Wypiwszy prędko kawę, zapłacił i opuścił oberżę. Jak mógł najszybciej pogalopował do Rodrigandy. Na wsi był o pół do ósmej. Oddawszy muła pod opiekę jednemu z gospodarzy, wziął instrumenty i poszedł w kierunku zamku.

Furtka ogrodowa, przy której żegnał się wczoraj z Rosetą była otwarta. Wszedłszy przez nią do ogrodu zamkowego, nie zdążył zrobić nawet paru kroków, gdy ujrzał Rosetę. Spacerowała ubrana w elegancką suknię domową. Właśnie odprawiała służącą, a ta odchodząc powiedziała: „Dobrze, hrabianko”. Hrabianka? Słowo to zelektryzowało Sternaua.

– Roseto! – zawołał.

– Senior Carlos?! Co pan tak wcześniej robi w parku?

– Boże mój, czy ja śnię? To straszne! Więc pani, seniorka, nie jest damą do towarzystwa, nie jest Rosetą, ale...

– Ale?

– Ale hrabianką!

– Tak, Carlosie! – powiedziała, wyciągając do niego rękę. – Czy może mi pan przebaczyć?

– Przebaczyć? To straszne, to okropne! Teraz wiem, dlaczego będziemy musieli się rozstać. Dlaczego to uczyniłaś, hrabianko, dlaczego?

Opuściła powieki i rzekła drżącym głosem:

– Pokochałam pana i chciałam choć przez parę chwil być szczęśliwa. Teraz wszystko skończone. Ojciec mój... Widzę pańskie instrumenty, przychodzi pan tak wcześniej, czy coś się stało?

– Czy się coś stało?! – powtórzył, jakby budząc się ze snu. – Ach tak, zapomniałem, że za chwilę może być za późno. Hrabianko, ojcu pani grozi największe niebezpieczeństwo!

Piękna jej twarz zbladła gwałtownie.

– Co na Boga?

Sternau wyciągnął zegarek, spojrzął i zawołał:

– Mój Boże, już tak późno! Za chwilę rozpocznie się operacja.

– Teraz? Przecież naznaczono ją na jedenastą.

– Wprowadzono panią w błąd. Operacja odbędzie się o ósmej. Usłyszałem o tym od jednego lekarza z Manresy, którego spotkałem przypadkiem i który nie ma pojęcia, że podsłuchałem jego rozmowę.

– Santa Madonna! Mają z pewnością jakieś złe zamiary, jeżeli mnie oszukują. Chodźmy, musimy zapobiec nieszczęściu!

Pobiegli w kierunku zamku. Gdy weszli na dziedziniec, służba odprowadzała do stajni jakiegoś wierzchowca. Sternau rozpoznał w nim konia lekarza, spotkanego w oberży.

– Spieszmy się – rzekł do hrabianki. – Lekarze już się zebrali, nie mamy ani chwili do stracenia.

Po kilku minutach znaleźli się przed drzwiami apartamentów hrabiego. Stał przy nich służący.

– Czy hrabia się obudził?

– Tak, condeso.

– Czy jest sam?

– Nie, lekarze są u niego.

– Od jak dawna?

– Od jakichś dziesięciu minut.

– Może nie jest jeszcze za późno. Chodźmy!

Hrabianka chciała otworzyć drzwi, ale lokaj zastąpił jej drogę i oświadczył grzecznie, lecz stanowczo:

– Condesa mi wybaczy, ale mam rozkaz nie wpuszczać nikogo.

– Nawet mnie?

– Zwłaszcza hrabianki.

Wyraz gniewu pojawił się na twarzy Rosety. Odrzuciwszy dumnie głowę, zapytała:

– Kto wydał ten rozkaz?

– Hrabia Alfonso, który jest również w pokoju hrabiego.

– Więc tak? Odsuń się!

– Nie wolno mi, nie mogę...

Nie skończył zdania, gdyż Sternau ujął go za ramię i odsunął na bok, po czym otworzył drzwi. Znaleźli się w przedpokoju. Służący wszedł za hrabianką i doktorem, nie odważył się jednak powiedzieć ani słowa. Z przedpokoju drzwi prowadziły już wprost do gabinetu hrabiego. Były zamknięte. Roseta zapukała kilkakrotnie.

– Kto tam? – rozległ się głos Alfonsa.

– To ja – odpowiedziała hrabianka. – Otwórz!

– Roseta? Kto cię wpuścił? Czy służący nie poinformował cię o moim rozkazie?

– Nie traćmy czasu na rozmowę. Otwieraj!

– Proszę, wróć do swego pokoju. Lekarze nie chcą się zgodzić na niczyją obecność.

– Moja obecność jest teraz konieczna, zwłaszcza że nie ma jeszcze jedenastej.

– Ojciec sobie życzył, żeby operacja odbyła się teraz, a nie jest to widok dla oczu kobiety.

– Muszę z nim naprzód pomówić!

– To niemożliwe. Zaraz zaczynamy.

Te ostatnie zdania zostały wypowiedziane tonem nie znoszącym sprzeciwu. Hrabianka jednak nie ustępowała.

– Alfonso – powiedziała – żądam, byś mi otworzył! Mam prawo i obowiązek pomówić z ojcem przed operacją.

– Ojciec nie może z nikim rozmawiać. Zresztą nie mam już ochoty na pogawędki przez drzwi. Odejdź, twoje pukanie na nic się nie zda...

– W takim razie otworzę drzwi sama!

– Spróbuj tylko! – roześmiał się ironicznie i odszedł w głąb apartamentu.

– Na Boga, co robić? – zwróciła się hrabianka do Sternaua.

Uśmiechnął się, nie odpowiedział jednak nic. Zdawał się nasłuchiwać, co się dzieje w pokoju hrabiego.

– Hrabianko – rzekł służący z pokorą – jestem przekonany, że tych drzwi nie otworzą. Proszę opuścić przedpokój.

– Zamilcz! – zawołała.

Może powiedziała by jeszcze coś, ale Sternau polecił jej skinieniem głowy, by przyłożyła ucho do drzwi. Natychmiast usłyszała głos ojca. Liczył w miarowych odstępach:

- Pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście...
- Co to? – zapytała blada jak ściana.
- Podają hrabiemu chloroform.
- Więc operacja odbędzie się na pewno?
- Tak.
- To się nie może stać, to się nie może stać! Błagam pana o pomoc!
- Czy pozwala mi pani użyć siły?
- Pozwalam.

Podszedł do drzwi i uderzył w nie nogą. Zachwiały się pod kopnięciem, zamek odskoczył i oto condesa wraz z doktorem znalazła się w gabinecie. Był pusty, ale z przyległego pokoju dolatywały głosy. Wkrótce w drzwiach prowadzących do tego pokoju stanął Alfonso i jeden z lekarzy.

- Co to jest?! – zawołał Alfonso. – Wdzierasz się przemocą?

Zaślepiony gniewem, nie zauważył, że siostra nie była sama.

– Wdzieram się – twarz Rosety oblał rumieniec oburzenia. – Mam wrażenie, że hrabianka de Rodriganda y Sevilla może w każdej chwili dostać się, choćby siłą, przed oblicze ojca! Nie ty więc masz mi stawiać pytania i robić wyrzuty, to raczej ja powinnam cię zapytać, jakim prawem bez mojej wiedzy śmiesz poddawać ojca ciężkiej, niebezpiecznej operacji!

- Tak postanowiliśmy i tak się stanie. Odejdź stąd natychmiast.

– Nie odejdę, zanim nie rozmówię się z ojcem. Gdzie on jest?

– W sąsiednim pokoju. Twoją wrażliwość może przypłacić życiem. Każde najmniejsze wzruszenie może mu bardzo zaszkodzić. Cóż to za człowiek stoi obok ciebie? – zauważył nagle.

– To doktor Steranu, lekarz z Paryża. Wezwałam go, by się poradzić co do stanu ojca. Mam nadzieję, że i ty będziesz zadowolony z jego przybycia.

Alfonso wybuchnął:

– Lekarz z Paryża?! Kto ci na to pozwolił? Co za niesłychana samowola! Odejdź w tej chwili, a tego człowieka odeślij.

Bezczelność Alfonsa wytrąciła hrabiankę z równowagi. Opanowała jednak wzburzenie i powiedziała stanowczo:

– Nie zapominaj, z kim rozmawiasz. Prawo do rozkazywania ma tu jedynie hrabia Rodriganda. Jeżeli zaś jakieś względy stają temu na przeszkodzie, mam takie samo prawo do rozkazywania jak ty. Operacja nie odbędzie się zanim doktor Sternau nie zbada dokładnie chorego.

Rysy twarzy Alfonsa wyostrzyły się, żyły wystąpiły mu na czole. Zbliżył się do siostry i ochryplym z gniewu głosem krzyknął:

– Ty chcesz tu rozkazywać?! Ty, kobieta?! Jak śmiesz! Operacja odbędzie się, choćbym miał użyć pomocy służby i polecić jej, by cię wyprowadziła. Robię zawsze to, co mi się podoba. Zrozumiałaś? – Po czym zwrócił się do Sternaua: – Proszę się wynosić. Jeżeli nie odejdziesz pan dobrowolnie, każę psami poszczuć!

Sternau uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Przybyłem tu na żądanie hrabianki, aby zbadać pańskiego ojca, hrabio. Uczynię to, na nic nie bacząc. Condeso, proszę przedstawić mnie temu panu, który jest przeciw moim kolegom po fachu – wskazał głową lekarza stojącego w niszy okiennej. Roseta, spełniając prośbę przyjaciela, powiedziała:

– Doktor Karol Sternau, lekarz naczelny kliniki profesora Letourbiera w Paryżu, doktor Francas z Madrytu. A oto i pozostali panowie: doktor Milanos z Cordoby i doktor Cielli z Manresy.

Dwaj ostatni właśnie opuścili pokój chorego, zaciekawieni niezwykłą rozmową między rodzeństwem. Ukłonili się gościowi chłodno i z powagą. Natomiast doktor Francas zbladł jak kreda. On jeden spośród całej trójki wiedział doskonale, jaką sławą cieszy się w Paryżu profesor Letourbier. Zorientował się natychmiast, że ma przed sobą wybitnego specjalistę, którego obecność stanowi poważne zagrożenie dla wszystkich biorących udział w tej ciemnej sprawie. Może ich uratować jedynie zdecydowane odrzucenie pomocy przybyłego lekarza. Powiedział więc ostro:

– Nie znam tego pana. Przygotowania ukończyliśmy, nie potrzeba nam żadnej pomocy. Dostojny nasz pacjent polecił nam dokonać operacji. Ublizaloby naszej godności nieprzeprowadzenie jej w tej chwili.

– Słyszysz? – rzekł Alfonso do siostry. Odejdź stąd natychmiast i zabierz tego człowieka. Nie chcę go widzieć na zamku.

Nim Roseta zdołała wykrztusić słowo, odezwał się Sternau:

– Hrabianka pozwoli, że jej coś powiem. Jestem lekarzem i pani gościem, choćby ze względu na to pani brat ma obowiązek okazać mi uprzejmość. A co do panów kolegów to już sam konwenans wymaga, by zastosowali się do życzenia kobiety. Niestety, ani pani brat, ani moi koledzy nie chcą tego zrozumieć. Wobec tego stanowczo oświadczam: ponieważ ma być dokonana ciężka operacja w tak podejrzanych okolicznościach, mam podstawy do przypuszczeń, że kryje się za tym jakiś podstęp. Dlatego zapowiadam, że każdego, kto się podejmie operacji, zanim zbadam hrabiego, będę uważał za świadomego mordercę. Gdyby chciano zastosować wobec mnie siłę, zwrócę się o pomoc do policji, a jestem pewien, że okaże mi ona więcej względów aniżeli panowie.

Wszyscy trzej lekarze stali jak skamieniały, z oczami wbitymi w ziemię. Alfonso nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, gdy nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich wysoka postać, budząca szacunek i litość. Chociaż człowiek ten był ślepy, jego oczy zdawały się mieć wielką moc, wywierającą wpływ na otoczenie. Okrywało go białe prześcieradło. Twarz o rysach subtelnych i szlachetnych była trupio blada, szpakowate włosy gęstymi kosmykami opadały aż na kark. Zdawać się mogło, że to duch jakiś przybył z zaświatów, aby rozstrzygnąć spór między żyjącymi.

Jak łatwo się domyślić, był to hrabia Manuel de Rodriganda y Sevilla we własnej osobie. Ponieważ chloroformowania nie dokończono, hrabia odzyskał przytomność i usłyszawszy głosy w przyległym pokoju, otulił się prześcieradłem, zszedł ze stołu operacyjnego i udał się do gabinetu.

– Co tu się dzieje? Kto rozmawia? Dlaczego odłożono operację? – zapytał, wodząc dokoła ślepymi oczyma.

Roseta objęła go ramionami, tuląc się do niego.

– Ojcze, drogi mój ojczy! – zawołała. – Bogu niech będą dzięki, że operacji nie zaczęto. Teraz już cię nie zabiją.

– Któż miałby mnie zabić?

– Umarłbyś z pewnością, wiem o tym, przeczuwam coś, czuję...

– Miłość dziecka przez ciebie przemawia i niepotrzebny niepokój, moja droga córko. Nie powinnaś nam była przeszkadzać.

– Masz rację, ojczy – wtrącił Alfonso. – Roseta wdarła się siłą. Kazała wyłamać drzwi. Sam powiedz, czy to postępowanie godne hrabianki?

– Istotnie to zrobiłaś, moje dziecko? – zapytał hrabia Manuel łagodnym, niedowierzającym uśmiechem.

– Tak, uczyniłam to. Znadto mi drogie twoje życie, abym go nie broniła. Mogą cię leczyć tylko ci, do których mam zaufanie. A do tych trzech panów go nie mam. Napisałam więc do Paryża z prośbą, żeby profesor Letourbier przysłał do nas najlepszego swojego chirurga. Przyjechał dziś, ale nie chciano go do ciebie dopuścić. Czy dziwisz się teraz, że użyłam siły?

– Lekarzom moim ufam – odparł hrabia. – Jeżeli zataili przed tobą godzinę operacji, to jedynie dlatego, by tobie i mnie oszczędzić niepotrzebnych wzruszeń. Gdzie jest ten lekarz z Paryża?

– Stoi przed tobą. Jest to doktor Karol Sternau, rodem z Moguncji.

– Jest tu, w tym pokoju?

– Tak – odpowiedział Sternau. – Przepraszam hrabiego, że nie uzgodniłem mojego przyjazdu z waszą ekscelencją. Ale czas naglił, a gdy idzie o życie ojca, o którego ratowanie błaga córka, nie wolno się wahać.

Widać było, że słowa te wywarły na starcu wrażenie.

– Czy asystował pan kiedyś przy podobnej operacji, doktorze?

– Tak.

– Czuję, że mówi pan prawdę i że niejedną operacją sam pan kierował.

– Oczywiście. Jestem przecież naczelnym lekarzem u profesora Letourbiera.

– W takim razie ufam panu. Dziękuję, że pan przybył. Czy zechce senior mnie zbadać?

– To mój obowiązek jako lekarza, hrabio.

– Niech więc pan wejdzie ze mną do pokoju. Panowie doktorzy mogą pójść razem z nami, reszta niech tu pozostanie.

– Ależ ojcze! – zawołał Alfonso. – Dlaczego nie liczysz się ze mną? Ja pokazałem temu panu drzwi!

– Mój synu, obraziłeś pana doktora i należy mu się satysfakcja z mojej strony.

Po tych słowach hrabia wrócił do swego pokoju w asyście lekarzy z doktorem Sternauem na czele.

Alfonso blady ze złości, podszedł do siostry:

– Tego ci nigdy nie zapomnę, nigdy!

Roseta nie spojrzała nawet na niego.

W pokoju hrabiego wszystko było przygotowane do operacji.

Hrabia zwrócił się do Sternaua:

– Odkąd straciłem wzrok, oceniam ludzi po głosie. Pański budzi zaufanie. Proszę, niech pan rozpoczyna badanie.

Doktor Sternau badał już wielu pacjentów, ale nigdy nie znajdował się w podobnej sytuacji. Chory był ojcem kobiety, którą kochał gorąco i beznadziejnie. Westchnął głęboko.

Słyszając to westchnienie, hrabia zapytał:

– Ma pan jakieś zmartwienie, doktorze?

– Nie, ekscelencjo. Westchnienie moje było modlitwą do Boga, by udało mi się spełnić to, czego oczekuje po mnie hrabianka.

Hrabia wyciągnął do niego obie ręce i rzekł:

– Dziękuję panu. Kto, będąc zdolnym i dzielnym człowiekiem, wzywa jeszcze Boga do pomocy, temu wierzę bezgranicznie. Może pan przystąpić do badania!

Sternau wypytywał dokładnie o przebieg choroby hrabiego, po czym zaczął go badać. Sposób, w jaki przystąpił do rzeczy, świadczył, że jest o wiele wybitniejszym specjalistą od lekarzy hiszpańskich.

Po zbadaniu hrabia zapytał, co Sternau stwierdził.

Nie odpowiedział natychmiast.

– Czy mogę jeszcze dowiedzieć się o przyczynę i przebieg ślepoty ekscelencji? – zapytał.

Gdy hrabia poinformował go dokładnie, wyjął cały szereg instrumentów i badał za ich pomocą oczy chorego. Trwało to dosyć długo. Następnie zwrócił się do kolegów:

– Szanowni panowie. Doktor Francas oświadczył niedawno, że nie zniesie tutaj mojej interwencji. Muszę wobec tego zrezygnować z poufnej narady z panami i wypowiedzieć swoje zdanie w obecności chorego. Ekscelencjo, jak miały być usunięte kamienie?

– Przez cięcie wewnętrzne! – odpowiedział zapytany.

– To niemożliwe! – zawołał Sternau. Chyba hrabia źle słyszał.

– Na pewno nie. Zresztą, niech pan zapyta kolegów lekarzy.

Doktor Francas odpowiedział:

– Uważamy to za jedyny ratunek.

– Ależ, panowie – rzekł Sternau poruszony – czy stwierdziliście wielkość i położenie kamieni? Tu każde cięcie jest niebezpieczne, a to, jakiego zamierzaliście dokonać, po prostu grozi śmiercią. Lekarz, który chciałby przystąpić do takiej operacji, byłby zwykłym mordercą!

– Senior!... – krzyknął groźnie lekarz madrycki.

– Panie – przerwał mu Sternau. – Hrabia nie jest lekarzem, nie zna się na chirurgii. Ale początkujący nawet medyk musiałby zdawać sobie sprawę, że chory takiej operacji nie przetrzyma. Jeżeli doniosę o tym władzom, po zbadaniu sprawy panowie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za usiłowanie zabójstwa.

Mimo tej groźby Francas nie dawał za wygraną:

– Pan, intruz, śmie nam grozić?! To zabawne! Gra pan komedię, chce pan zapewne zostać domowym lekarzem hrabiego. Ale hrabia zna nas dobrze i wie, że jesteśmy uczciwi i poza wszelkimi podejrzeniami. Chcielibyśmy jednak usłyszeć, jak sobie wyobraża pan doktor z Paryża usunięcie kamieni.

– Po prostu przez litotrypsję, która wyklucza wszelkie niebezpieczeństwo.

– Litotrypsję? – zapytał lekarz z Manresy. – Cóż to takiego?

Sternau nie ukrywał zdumienia:

– I takim ludziom hrabia powierza swe życie. Ten człowiek nie słyszał nawet o litotrypsji, o usunięciu kamienia za pomocą litotrypu!

Francas uśmiechnął się ironicznie:

– Myli się pan. Bajkę o litotrypie znamy od dawna, tylko uważamy ją właśnie za bajkę. Ale co nam po sporze prowadzonym z kimś, kto o sprawie nie ma pojęcia! Niech hrabia rozstrzygnie, kto w tej chwili powinien opuścić pokój: ten człowiek czy my!

– Będę się kierował wyłącznie głosem sumienia – rzekł Sternau.

– Hrabia nie jest lekarzem, więc może zdecydować się na krok, który gotów życiem przyplacić. Ja jednak nie dopuszczę do tego, choćbym miał nie wiem co stracić.

Hrabia wstał i oświadczył:

– Moi panowie, tu nie miejsce na spory. Oddalcie się teraz, i później zawiadomię was o swojej decyzji. Poglądy panów znam, chciałbym więc poznać bliżej poglądy doktora Sternaua. On zostanie przy mnie, a panowie zechcą opuścić pokój.

– Więc hrabia po prostu nas wyrzuca? – obruszył się Francas. – Dobrze, usłuchamy, ale ten intruz drogo nam za to zapłaci.

Spakowali instrumenty i wyszli z pokoju. Po chwili wpadła Roseta i rzucając się hrabiemu na szyję zawołała:

– Uratowany, mój ojciec uratowany!

Hrabia odezwał się łagodnie:

– Nie tak gwałtownie, moje dziecko. Jeszcze nie powziąłem decyzji.

– Jestem już pewna!

Obrzuciła Sternaua spojrzeniem tak pełnym uczucia, że wzruszył się do głębi.

– Ekscelencjo – zwrócił się do hrabiego – proszę mieć do mnie zaufanie, proszę mi wybaczyć ostry ton, którego użyłem w stosunku do tych panów, ale oburzyła mnie do żywego ich bezgraniczna lekkomyślność. Gdyby operacja się odbyła, hrabia byłby już nie żył, przysięgam!

Tymczasem drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Alfonso, który od lekarzy dowiedział się, co się stało.

– Wypędzasz ich, ojczec? Czy to możliwe? – zapytał gniewnie.

- Nie wypędzam ich, tylko proszę o czas do namysłu.
- Mam nadzieję, że będziesz się liczył z tymi ludźmi.
- Decyzja moja będzie na pewno słuszna. No, ale doktor zbadał również moje oczy.
- Naprawdę? Czy jest nadzieja, że ojciec odzyska wzrok? – spytała Roseta Sternaua.
- Mam wrażenie, że tak.
- Co pan zauważył, badając oczy?
- Że i tutaj mylili się lekarze.
- Co takiego? – zdziwił się hrabia Manuel. – Niechże pan mówi.
- Ekscelencjo, czy lekarze oświadczyli panu, że ślepotą jest nieuleczalna?
- Tak.
- Czemu przypisywali utratę wzroku?
- Stwierdzili, że przyczyną ślepoty były wrzody na powiekach.
- Mylili się. Choroba hrabiego ma inną przyczynę.
- Czy jest uleczalna?
- W ostatnich czasach udało się wyleczyć z niej kilku chorych za pomocą pewnej bardzo skomplikowanej operacji. Gdyby hrabia chciał mi całkowicie zaufać, mógłbym osiągnąć to, że hrabia widziałby przynajmniej przez okulary. Oczywiście, o całkowitym przywróceniu wzroku nie ma mowy.
- Starzec wznosił ręce ku niebu z okrzykiem:
- Wielki Boże! Gdyby to było możliwe!
- Roseta przytuliła się do ojca i ocierając łzy, rzekła:
- Ojczy, zaufaj mu, on jeden zdoła cię uratować!
- Dobrze, córeczko. Oto moja ręka, doktorze. Rozpoczął pan dzieło z Bogiem, niechże je pan skończy z Jego pomocą. Alfonso, a ty się nie cieszysz?
- Alfonso nadrabiając miną odparł:
- Byłbym szczęśliwy, gdybyś mógł odzyskać wzrok, ale uważam za ogromną nieodpowiedzialność dawać nadzieję, której spełnienie nie jest możliwe. Wyobrażam sobie, jak się będziesz okropnie czuł, jeśli operacja się nie uda.
- Bóg ulituje się nade mną. Jak długo może potrwać kuracja? – zwrócił się do Sternaua hrabia Manuel.
- Usuwanie kamieni z pomocą litotrypu jakieś dwa tygodnie. Dopiero później, gdy polepszy się ogólny stan ekscelencji, można będzie przystąpić do kuracji oczu, która w każdym razie potrwa dłuższy czas.
- Czy mógłby pan przez ten czas pozostać na zamku, doktorze?
- Musiałbym wziąć u profesora Letourbiera urlop lub prosić go o dymisję.
- Niech pan zwróci się o dymisję, proszę o to, doktorze. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby to zrekompensować seniorowi.
- Największą rekompensatą i nagrodą będzie dla mnie świadomość, że przywróciłem hrabiemu zdrowie i wzrok. Dziś jeszcze napiszę do profesora.
- Doskonale. Zamieszka pan tutaj. Roseta wskaże panu pokój.
- A od czego kasztelan? – wtrącił Alfonso.
- Prawda, zapomniałem o nim zupełnie.
- Sternau pożegnał się z hrabią Manuelem i opuścił pokój. W korytarzu trzech lekarze obrzucili go ponurym, nienawistnym spojrzeniem.
- Rozpoczął pan z nami walkę – rzekł Francas. – Przyjmujemy ją, ale będziemy walczyć tak długo, dopóki pan nie skapituluje!
- Czcza gadanina – Sternau machnął ręką i wyszedł z pałacu, by przenieść swoje rzeczy z wiejskiego domku do pokoju wyznaczonego mu na zamku.

W jakiś czas potem w pokoju Clarisy siedziało przy zamkniętych drzwiach czworo ludzi: hrabia Alfonso, doktor Francas, notariusz Gasparino Cortejo i gospodyni. Wysłuchawszy ich sprawozdania o przedpołudniowych wypadkach, Clarisa wykrzyknęła:

– Najświętsza Madonno! Czy to możliwe?! Byliśmy tak blisko celu, a naraz ten przybłąda pokrzyżował nam wszystkie plany, obrócił je w niwecz!

– Pokrzyżował? – rzekł Alfonso szyderczo. – O tym nie może być mowy. Sprawa odsunęła się tylko w czasie.

– Czy Sternauowi może się udać operacja kamieni? – zapytał notariusz doktora.

– Z pewnością – odparł Francas. – Ale przedtem my jemu zgotujemy taką operację, że go rodzona matka nie pozna!

– A operacja oczu?

– I ta przebiegnie szczęśliwie, chyba że się wywiąże zapalenie. Ale po tym olbrzymie z Paryża można się spodziewać, że do tego nie dopuści.

– Trzeba się więc postarać, by nastąpiło zapalenie – powiedziała Clarisa. – Bóg zabrał hrabiemu światło oczu, byłoby więc grzechem sprzeciwiać się wyrokowi boskiemu.

– Zbierzemy wszystkie siły – rzekł Gasparino – ale musimy być bardzo ostrożni. Nie powinniśmy spotykać się zbyt często. W każdym razie o tym powinniśmy pamiętać, że hrabia nie może wyzdrowieć, a przede wszystkim nie może odzyskać wzroku, wtedy bowiem zobaczyłby Alfonsa. Tego Niemca trzeba unieszkodliwić. Musimy go zabić lub usunąć w jakiś inny sposób.

– Ale w jaki? – dociekała Clarisa.

– W tym już moja głowa! Mam w górach paru dobrych znajomych. Głupcy nazywają ich rozbójnikami, dla mnie zaś to najlepsi, wypróbowani sprzymierzeńcy. Pojadę wkrótce do nich i pomówię, w jaki sposób będzie się można pozbyć nieproszonego gościa. Wypocząwszy po nieprzespanej nocy, Sternau wyszedł z mieszkania dopiero po południu: Pierwszą osobą, którą spotkał, była Roseta.

– Dzień dobry – powiedziała. – Przynosi nam pan spokój i szczęście.

– Przede wszystkim przynoszę wojnę, którą uroczyście zapowiedział mi doktor Francas.

– W wojnie jestem i będę pańską najwierniejszą sojuszniczką.

Spowiedź żebraka

Wysoko w Pirenejach, tam gdzie wznosi się szczyt Maladeta, czyli Przeklęty, schodził dziką ścieżką w doliny samotny wędrowiec. Południowe słońce rzucało swe gorące promienie na nagie skały, wśród których prowadziła dróżka. Wędrowiec nie natknął się po drodze ani na strumień, ani na drzewa lub zarośla, wśród których można by znaleźć odrobinę cienia. A czuł się bardzo znużony i spragniony. Był to człowiek stary, o siwych włosach, zapadniętej twarzy wysmaganej przez halne wiatry. Ręce miał stwardniałe, ciało okrywały łachmany, z podartych sandałów wyglądały nagie stopy. Co pewien czas z chudej piersi wydobywał się kaszel, zdradzający ciężką chorobę.

Wędrowiec szedł i szedł w kierunku doliny. Padał ze znużenia, lecz nie ustawał, coś go gnało wciąż dalej i dalej. Nareszcie zatrzymał się, obrzucając okolicę badawczym wzrokiem.

– To już tu być musi – szepnął do siebie. – Tu zostawiłem chłopca, stąd udałem się do Meksyku, tu zaczęła się moja męka. Tu odpocznę.

Usiadł na kamieniach, głowę złożył w dłonie. Wokoło panowała zupełna cisza. Przerwywał ją tylko kaszel wędrowca.

– Matko litościwa – szepnął znowu. – Zgrzeszyłem i cóż mi przyniosła moja zbrodnia? O zebranych chlebie przewędrowałem lądy i morza, aby przebłagać niebo i spokojnie złożyć kości do grobu. Panie na niebie, przebacz mi, nie daj mi szukać na próżno. Pozwól mi znaleźć, inaczej czeka mnie piekło!

Przerwał na chwilę, po czy szeptał dalej:

– Ale czy żyje? Może zabili tego ślicznego chłopca, który leżał na moich kolanach jak dzieciątko Jezus na kolanach swojej matki. To byłoby okropne. Muszę odnaleźć kryjówkę zbójców. Tylko żeby mnie nikt nie poznał, żeby się nikt nie domyślił kim jestem i czego szukam. Nie odtrącaj mnie chorego, bliskiego śmierci. Może uda mi się dowiedzieć, czy żyje ten, którego szukam.

Znowu rozpoczął wędrówkę na wschód. Wdrapywał się na skały jęcząc i pokaszując, bo droga była bardzo zła, ale nie myślał rezygnować. Wreszcie zobaczył zielone pasmo. Miał teraz za sobą pustkowia, był w górach pokrytych zaroślami i gęstym lasem.

Przez las doszedł do polany i tam wyciągnął utrudzone ciało. Po chwili czyjaś mocna dłoń ujęła go za ramię i jakiś rubaszny głos zapytał:

– Czego tu chcesz, staruchu?

– Chcę umrzeć.

– Umrzeć? Dlaczego to?

Nad starcem stał młody i krzepki mężczyzna. Był uzbrojony i sprawiał wrażenie człowieka, któremu obce są zarówno mury miasta, jak i strzechy wiejskie.

– Nie mogę żyć dłużej.

– Skąd tu przychodzisz? Czego szukasz?

– Już od wielu lat szukam zioła, które by mogło złagodzić me cierpienie, ale bezskutecznie.

– Skąd pochodzisz?

– Z dalekich stron. Z Orense, znad granicy Portugalii.

– I udałeś się mimo choroby w tak daleką drogę? Masz chleb przy sobie?

– Nie.

– Nie masz? W takim razie umrzesz prędzej z głodu aniżeli z wycieńczenia. Zaczekaj, zapytam, czy cię mogę przyprowadzić.

Młodzieniec znikł w zaroślach. Po chwili powrócił.

– Jeżeli dasz sobie zawiązać oczy, zaprowadzę cię na miejsce, gdzie będziesz mógł wypoczywać, jak długo zechcesz – rzekł do starca.

– Zawiązać oczy? Po co?

– To konieczne. Nie powinieneś widzieć wejścia do naszej kryjówki.

– Kimże wy jesteście?

– Myśmy zbójcy, lecz poza tym ludzie uczciwi.

– Zbójcy? Rozbójnicy? Lecz Ja jestem biedakiem, cóż mi więc możecie zrobić? Zawiąż mi oczy i prowadź, dokąd chcesz.

Rozbójnik zdjął z szyi chustkę, przewiązał nią oczy starca i ujął go pod rękę. Szli jakiś czas, po czym zdjął przepaskę wędrowcowi. Znaleźli się w wąskiej grocie górskiej. Wokoło siedziało dwudziestu uzbrojonych mężczyzn. Jedli, pili, palili i czyścili broń. Wędrowca zaprowadzono przed wysokiego brodatego mężczyznę, który leżał na uboczu na wełnianym pledzie i liczył pieniądze w wielkiej skórzanej torbie.

– Jak się nazywasz? – zapytał gburowato przybysza.

– Bernardo.

Herszt rozbójników rzucił na niego badawcze spojrzenie i rzekł:

– Mam wrażenie, że już cię kiedyś widziałem.

– Niemożliwe.

– Powiedziano mi, że pochodzisz z Orense. Dlaczego nie zostałeś w domu, jeżeli jesteś chory?

– Właśnie z powodu choroby wyruszyłem w drogę. Szukam w górach zioła, które leczy wszystkie cierpienia.

– Oho, takiego zioła nie ma!

– Podobno jest. Doświadczona cyganka powiedziała mi o nim.

– Czy nie masz syna, który mógłby ci pomóc w szukaniu?

– Nie mam nikogo na świecie.

– Zostań więc i wypocznij. Wychodzić ci nie wolno bez mego pozwolenia. Jeżeli jesteś szpiegiem, biada ci, pamiętaj!

Starzec otrzymał jedzenie i picie, dano mu miejsce do spania. Nikt się już nim więcej nie zajmował.

Po jakimś czasie podszedł do herszta wartownik i zameldował, że chce z nim mówić jakiś obcy człowiek.

– Któż to taki? – zapytał herszt.

– Nie chce wyjawić swego imienia. Nosi czarną maskę, aby go nie poznano.

– Aha, już idę.

Wziąwszy rewolwer, herszt opuścił kryjówkę. Na widok przybysza wyciągnął rękę ze słowami:

– Witaj, senior Gasparino, witaj! Nie widzieliśmy się całe lata.

– Pst... – odezwał się zamaskowany. – Po co mówić po imieniu? Czy nikt nie podsłuchuje?

– Nikt. Wartownik, który stoi tam na prawo, nie może nas usłyszeć. Mam nadzieję, że da mi pan dobrą robotę?

– Być może, jeżeli cena nie będzie za wysoka. Ile trzeba zapłacić za unieszkodliwienie dwóch ludzi?

– To zależy od tego, kim są ci ludzie.

– Hrabia i lekarz.

– Jaki hrabia?

– Stary hrabia Manuel de Rodriganda y Sevilla.

– No wie pan! Dobry z pana domownik! Niestety, nie mogę spełnić pańskiego życzenia, gdyż hrabia znajduje się pod opieką jednego z moich przyjaciół, włos mu z głowy nie może spaść.

– Zapłacę dobrze.

– To nie zmienia postaci rzeczy. Przyjaciołom dotrzymuję słowa. Choćby senior obiecał mi złote góry, interesu nie ubijemy. Nie warto o tym mówić. A drugi człowiek?

– Lekarz z Paryża.

– To co innego.

– I taniej?

– Przypuszczam. Gdzie on mieszka?

– U hrabiego.

– O, w takim razie drogo to będzie kosztowało. A dlaczego mamy sprzątnąć tego człowieka?

– Wchodzi mi w drogę. To powinno już wam wystarczyć.

– Dobrze. Sprzątnąć go czy tylko uprowadzić?

– Wolałbym pierwsze.

– W takim razie tysiąc dublonów.

– Tysiąc dublonów? Czy senior oszalał?

– A wie nie? W takim razie do widzenia – odpowiedział krótko herszt.

– Niech pan zaczeka! Zgadzam się. Kiedy i jak płatne?

– Połowa zaraz, reszta później, po załatwieniu sprawy.

– A jeżeli się nie uda?

– Musi się udać. Jak to załatwić?

– O tym później. Przypuszczam, że będzie potrzeba kilkunastu ludzi. Gdy zjawią się w parku zamkowym, dostaną ode mnie instrukcje. Oto pięćset dublonów.

Wręczywszy hersztowi pieniądze, Gasparino zapytał:

– Czy jest jeszcze ten mały chłopiec, którego kiedyś zostawiłem?

– Tak. Od tego czasu wyrósł, dzisiaj jest już dojrzałym mężczyzną.

– Dlaczego go nie zgładziliście?

– Otrzymałem pieniądze za porwanie, o zabójstwie nie było mowy. Powiedz senior, kim jest ten człowiek?

– Dowie się pan później. A za kogo się uważa?

– Za podrzutka.

– Chętnie zobaczyłbym go przy okazji.

– Co to, to nie. Nie jest pan naszym towarzyszem, płaci pan tylko pieniądze i kwita.

– Kiedy pańscy ludzie przybędą na zamek?

– Jutro wieczorem. Adios, senior.

– Adios!

Po tych słowach rozstali się.

Powróciwszy do kryjówki, herszt odbył długą naradę z pięcioma swymi ludźmi. Rozkazał im udać się na zamek hrabiego i zrobić, co poleci im notariusz.

Gdy nadszedł wieczór, jeden z rozbójników zbliżył się do chorego wędrowca i poprowadził go ciemnym korytarzem, który wiódł w głąb góry. Po obydwu jego stronach znajdowały się wydrążone w skale małe cele, które służyły mieszkańcom kryjówki za miejsce odpoczynku. Niektóre zaopatrzone w ciężkie żelazne drzwi, nasuwały myśl o więzieniu.

Rozbójnik, prowadzący wędrowca, był człowiekiem młodym, lat około dwudziestu dwóch, ubranym w malowniczy strój kataloński. Mała lampka, którą trzymał w ręku, oświetlała twarz wcale nie zbójceją, wręcz ujmującą i miłą.

– Oto twoja cela, poczciwy staruszk – rzekł przewodnik. – Znajdziesz tu wygodne łożo. Czy mam ci zostawić światło?

– Tak – odparł żebrak. – Kto wie, czy kiedykolwiek opuszczę celę.

– Dlaczegożby nie? Nie powinieneś upadać na duchu. Jesteś wprawdzie bardzo chory, ale nie należy nigdy tracić nadziei.

– Mam nadzieję – odparł starzec, zanosząc się kaszlem – mam nadzieję, że wkrótce umrę. Śmierć uwolni mnie wreszcie od wszystkich cierpień.

– Czy bardzo dokucza ci ból? – zapytał ze współczuciem rozbójnik, ścieląc starcowi łożę.

– Tak, jednak czym są cierpienia ciała wobec udręki duszy?

– Pomógłbym ci chętnie, gdyby to leżało w mojej mocy.

– Zdaje się, że masz dobre serce. Może będziesz mi mógł pomóc w pewnej sprawie, dla której tu przybyłem...

– Ależ chętnie!

– Nie wiesz, czy przebywa wśród was człowiek, który nie zna swego pochodzenia?

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo szukam tego człowieka.

– Znam go!

– Gdzie jest? Kto to taki?

– Ja nim jestem.

– Czy to możliwe? Jak ci na imię?

– Mariano.

– A nazwisko?

– Nie znam go.

– W jaki sposób dostałeś się tutaj?

– Herszt znalazł mnie w górach.

– Ile masz lat?

– Nie wiem.

– Jak długo jesteś pośród rozbójników?

– Osiemnaście lat.

– Osiemnaście lat? Tak, to tyle. Nic nie pamiętasz ze swego dzieciństwa, niczego sobie nie możesz przypomnieć?

– Nie, choć często widziałem je we śnie.

– Może śniłeś o tym, co było rzeczywistością. Jakie to były sny?

– Śniłem często o małej lalce, że leżę w małym, białym łóżeczku, że nad nim pochyła się ktoś w złotej koronie.

– Czy nie pamiętasz imienia?

– Owszem, wiem, że śniła mi się dziewczynka, którą nazywałem Rosetą. Śniło mi się także, że nosił mnie na rękę jakiś wysoki, przystojny mężczyzna, ubrany w przepiękny, złotem wyszywany mundur. On nazywał mnie Alfonsem. Obok niego była zawsze piękna pani, która kochała mnie i bardzo pieściła. Nazywałem ich oboje ojcem i matką. Raz zjawił się podczas mego snu jakiś obcy człowiek. Gdy się obudziłem, miałem zakneblowane usta. Ale nie byłem już w naszym zamku, lecz w mieście, do którego kiedyś zawieźli mnie moi rodzice. Chciałem krzyknąć ze strachu, ale obcy człowiek zakneblował mnie jeszcze mocniej i zasnąłem znowu. Gdy obudziłem się, leżałem w lesie. Oto mój sen.

– Nie pamiętasz, jak było na imię panu w mundurze?

– Służba mówiła do niego hrabio albo ekscelencjo.

– A imienia nie pamiętasz?

– Nie.

– Słuchaj, mój synu, to nie było marzenie senne, to była rzeczywistość.

– I mnie się tak chwilami zdawało, ale gdy o tym opowiadałem, najpierw się ze mnie wyśmiewano, a później herszt rozbójników, zwany kapitanem, zabronił mi w ogóle o tym mówić pod groźbą kary.

– Jest to kolejny dowód, że się obawiano, aby prawda się nie wydała.

– Ja też myślałem, że się za tym coś kryje. Ale kapitan był dla mnie bardzo dobry i wyrozumiały. Uczył mnie życia i jak poznawać świat. Polubiłem rozbójników i oni mnie polubili. Zżyliśmy się bardzo. Czułem jednak, że nie jest to mój świat. Cieszę się, że ciebie spotkałem. Bernardo. Proszę, opowiedz mi, co się kiedyś wydarzyło i jak do tego doszło, że się znalazłem wśród zbójców.

– Dobrze, mój chłopcze. Najpierw musisz wiedzieć, że nie jestem Bernardo, ale Tito Sertano. Za młodu byłem wielkim hulaką i zawalidrogą... Wszedłem w konflikt z prawem, uciekłem w góry. Ponieważ nie miałem rodziny, przystałem do zbójców. Kapitan, gdy przekonał się, że może na mnie liczyć, powierzał mi różne zadania. Wiedział, że go nie zawiodę ani nie zdradzę jego niecznych postępów. Po prostu darzył mnie dużym zaufaniem. Pamiętam dokładnie tamten dzień, była piękna jesień. Podszedł do mnie po południu i powiedział, że ma dla mnie specjalne zadanie. Jeśli wykonam je dobrze, otrzymam wyjątkowo wysoką zapłatę. Oj, lubiłem pieniądze! Ciągłe było mi ich za mało. Bez wahania się zgodziłem. Zapytałem, co mam robić. Herszt powiedział, że właściwie niewiele, trzeba tylko zamienić dzieci. „Tylko to? – zaśmiałem się. – To naprawdę dla mnie drobnostka”. Wieczorem kapitan udał się wraz ze mną na nocleg do pewnej oberży w Barcelonie. O północy wszedł do naszego pokoju jakiś człowiek i położył na stole spore zawiniątko. Był w nim chłopak, może czteroletni. Zawiniątko pachniało eterem, zapewne użyto go, by dziecko uspić. Chłopca tego musiałem zamienić na innego, który spał w oberży. Drzwi pokoju, do którego miałem się zakraść, nie były zamknięte na klucz. Dano mi flaszkę z eterem. Po jakimś czasie zamiana była gotowa, kapitan zabrał dziecko tutaj, do tej kryjówki.

– Czy jesteś tego pewien?

– Tak. Sam przecież przyniosłem chłopca do lasu. Tym chłopcem byłeś właśnie ty.

– Czy to możliwe?

– Mogę przysiąc, że to prawda. Zamieniając dzieci, zauważyłem na twojej bieliźnie monogram R.S., obok niego zaś wyszyta była korona hrabiowska. Działo się to w nocy z pierwszego na drugiego października roku 1830.

– Czy znasz człowieka, który przywiózł to drugie dziecko?

– Nie, ale słyszałem jego imię. Kapitan, nie zważając na moją obecność, nazwał go kilkakrotnie Gasparinem. Poznałbym go natychmiast, gdybym zobaczył.

– Jak wyglądał?

– Był wysoki i chudy. Mówił z namaszczeniem chrapliwym głosem.

– A więc przyniosłeś chłopca tutaj? Co się z nim dalej stało?

– Został u nas. Mówił ciągle o swoich rodzicach, o małej Rosecie, o dobrym Alimpo, o poczciwej Elvirze. Kapitan zabronił mu wymawiać imiona, które też z biegiem czasu zatarły się w pamięci dziecka.

– Nie – rzekł Mariano. – Nie zapomniałem ich. Pamiętam nawet, że stary Alimpo nosił mnie na rękach, a Elvira, bardzo tęga kobieta, była jego żoną. Widzę ją dokładnie, poznałbym natychmiast. Opowiadaj dalej.

– W kilka tygodni po zamianie dziecka miałem zamordować jakiegoś podróżnego. Wahałem się, herszt zagroził mi karą śmierci, gdybym nie wykonał rozkazu. Uciekłem. Udałem się do St. Jean de Luc we Francji i wstąpiłem na okręt jako marynarz. Odbyłem wiele dalekich podróży. W St. Jean de Callac zachorowałem. Wyzdrowiawszy, poszedłem na służbę do pewnego bogatego Meksykanina, który zabrał mnie do stolicy, do Meksyku. Służyłem u niego aż do jego śmierci. Od tego czasu zaczęło mi się źle powodzić. Oszczędności prędko się wyczerpały, zachorowałem na płuca. Czułem, że śmierć się zbliża. Wtedy zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Jakaś siła pchała mnie by odszukać ukradzionego chłopca i prosić go o przebaczenie. Z żebraniny uciułałem nieco grosza na drogę powrotną do Hiszpanii. Choroba

zmieniła mnie nie do poznania, więc mogłem przywędrować aż tutaj, by zasięgnąć języka. Bóg ulitował się, spotkałem cię pierwszego dnia...

Po tych słowach starzec dostał ataku okropnego kaszlu. Mariano, nie mogąc dłużej usiedzieć na posłaniu, wielkimi, nerwowymi krokami chodził po pokoju. Choć wiedział, że ten człowiek popełnił wielkie przestępstwo, czuł, że był on tylko narzędziem w ręku łotra. Czy mógł gniewać się na nieszczęśliwego starca i to w chwili, w której śmierć wyciągała już po niego swoje ramiona?

Starzec patrzył błagalnie na Mariana. Młody mężczyzna podszedł do niego, podał mu rękę i rzekł:

– Przebaczam ci, Tito Sertano, choć popełniłeś wielką zbrodnię. Niech ci Bóg przebaczy, tak jak ja tobie przebaczam.

Starzec pochylił w tył głowę, twarz jego wygładziła się:

– Jak mi dobrze – szepnął. – Mogę już teraz umrzeć spokojnie! Ale nim odejdę, chcę spełnić swój obowiązek wobec ciebie i twojej rodziny. Spisz to wszystko, co ci powiedziałem, a ja podpisem swym stwierdzę, że to prawda.

– Dobrze, zrobię to – rzekł Mariano. – Ale powiedz mi jeszcze, jak się nazywała ta oberża w Barcelonie, z której mnie wykradłeś.

– Zajazd El Hombre Grande – odparł starzec.

– Z którego pokoju mnie porwałeś?

– Z ostatniego, położonego na piętrze. My spaliśmy w drugim pokoju, licząc od schodów, na parterze.

– Czy ktoś zauważył zamianę?

– Tego nie wiem, bo uciekliśmy przed świtem.

Mariano spisał spowiedź żebraka, a ten złożył pod nią swój podpis.

– Będę strzegł twego wyznania jak oka w głowie – powiedział Mariano. – I jeszcze raz dziękuję ci za wiadomości. Przebaczam ci, niech Bóg również ci przebaczy!

Mariano nie spał całą noc. Spowiedź żebraka otwierała zupełnie nową fazę w jego życiu, zmieniła nawet jego osobowość. Dotychczas uważał kapitana za swego dobroczyńcę. Teraz widział w nim sprawcę nieszczęścia, złoczyńcę, który go zabrał bogatym i kochającym rodzicom i uczynił rozbójnikiem. Znienawidził go z całej duszy, ale postanowił póki co nie zdradzać się z tym uczuciem.

Oprócz Mariana ktoś inny jeszcze nie spał tej nocy. Był to herszt bandy. Siedząc w swojej celi, której ściany zawieszono były kosztowną bronią wszelkiego rodzaju, trzymał głowę w dłoniach i mówił sam do siebie:

– Ten Gasparino Cortejo to zatracony łajdak, gorszy od najgorszego zbója! Choć nie mam prawa do pytań, chętnie bym się dowiedział, co mu przyniesie śmierć tego doktora. – Zagłębił się w rozmyślaniach. Ogarniać go począł niepokój, wstał i chodził po celi. Znowu mówił do siebie: – Za tę historię z Marianem można będzie wydusić od niego jeszcze sporo pieniędzy. Miałem chłopaka wprawdzie zabić, ale byłbym ostatnim osłem, gdybym to uczynił. Wolę mieć w osobie tego chłopca hak na Gasparina. A zresztą tak pokochałem Mariana, że ciężko mi byłoby zgładzić go teraz.

Kilkakrotnie jeszcze przemierzywszy celę, zbliżył się do ściany i nacisnął ją w pewnym miejscu. Rozstąpiła się i wszedł do kryjówki, po chwili zaś wrócił z jakimś poźółkłym dokumentem.

– A jak się ten łajdak usiłował wywinąć, jak się bał tego pisma – szepnął z zadowoleniem. – Ale nic nie wskórał, miałem go przecież w ręku!

Pochyliwszy się nad lampą, odczytał dokument:

Oświadczam niniejszym, że rybak Tito Sertano, rodem z Matarao, zamienił z mego polecenia w dniu 1 października 1830 roku w oberży El Hombre Grande w Barcelonie jednego

chłopca na drugiego, za co otrzymał ode mnie tysiąc srebrnych plastrów. Zamieniony chłopiec żyje pod imieniem Mariana w jednej z jaskiń górskich.

Manresa, 15 listopada 1830 roku.

Gasparino Cortejo, notariusz.

Starannie złożył papier i schował go do skrytki. Gładząc brodę mówił do siebie:

– Trzymam w szachu pana notariusza. Ta sprawa będzie go jeszcze sporo kosztować! Szkoda tylko, że nie chce mi powiedzieć, kim byli ci dwaj zamienieni chłopcy. Mam wprawdzie pewne podejrzenia, wiem, że jest pełnomocnikiem hrabiego Manuela de Rodriganda y Sevilla, ale to jeszcze za mało. Młody hrabia podobno wrócił, należy zbadać stosunki w rodzinie Rodrigandów. Ale jak? Przez kogo? – Po chwili namysłu uśmiechnął się i dalej prowadził głośny monolog: – Przyszła mi zabawna myśl do głowy! A gdyby tak posłać Mariana, by się wywiedział wszystkiego? Tak, on jedyny nadaje się do tej roli dzięki wytwornemu obejściu. Nauczyłem go przecież wszystkiego, co niezbędne jest człowiekowi z dobrego towarzystwa, zna francuski, umie czytać i pisać, jeździć konno, fechtować się, strzelać, pływać, jest przy tym silny i odważny, wierny i przywiązany do mnie, mądry i sprytny. Tak, jego wyśle! Notariusz nie widział go nigdy, nie pozna więc, nie będzie nawet przypuszczał, że ten młody, miły i sympatyczny człowiek jest tym samym chłopcem, którego swego czasu chciał sprzątnąć ze świata. To pomysł pierwszorzędny.

Zadowolony z siebie udał się na spoczynek.

O świcie, ledwo przetaił oczy, wszedł do jego celi jeden z rozbójników i zameldował:

– Starzec, który przywędrował do nas wczoraj, zmarł przed chwilą.

– Wyprawcie mu pogrzeb, tylko mnie nie zakłócajcie spokoju. Czy Mariano już wstał? Jeżeli tak, niechaj tu przyjdzie natychmiast.

Po chwili wszedł Mariano. Powitał herszta jak zwykle bardzo serdecznie.

Kapitan kazał mu siadać i zapytał:

– Gdzie jest twój kary ogier?

Mariano aż zarumienił się na wspomnienie konia.

– Już od miesiąca stoi między końmi, ale musiałem go od nich odseparować. Nie można sobie z nim dać rady, tak wierzga i kopie wokoło.

– Uważaj więc, by cię dziś nie spotkało nieszczęście.

– Mam na nim pojechać? Dokąd?

– Do Manresy i na zamek Rodrigandów.

– Daleka droga.

– Masz dużo czasu. Będziesz mógł spędzić kilka tygodni poza naszą kryjówką.

Mariano nie posiadał się z radości.

– Czy jadę w jakimś określonym celu, z gotowym poleceniem?

– Tak, sprawa jest bardzo skomplikowana. Czy wszystkie swoje rzeczy masz w porządku?

– Jak najbardziej.

– I mundury?

– Tak. Czy mam włożyć mundur?

– Pojedziesz jako oficer francuski. Francuskim władasz doskonale, co? Wystawię ci papiery na nazwisko porucznika huzarów Alfreda de Lautreville'a. Za wszelką cenę musisz dostać się na zamek Rodrigandów, a tam... Rozumiesz? Powinni cię zatrzymać na dłużej jako miłego gościa. Przez ten czas musisz się zorientować w stosunkach panujących w pałacu. Później zdasz mi z tego dokładny raport. Jestem przekonany, że potrafisz sprostać zadaniu.

– Może mnie wtajemniczysz w szczegóły, kapitanie?

– Nie mogę ci wiele powiedzieć. Pamiętaj w każdym razie, że na zamku mieszka niejaki Cortejo, notariusz i pełnomocnik hrabiego. Jest na zamku oprócz notariusza młody hrabia Alfonso, który mieszkał długie lata w Meksyku. Obserwuj, jak młody hrabia odnosi się do

ojca i notariusza. Przypatrz się dobrze, czy Alfonso nie jest przypadkiem podobny do tego ostatniego. A teraz idź i przygotuj się do drogi. Pieniądze dam ci razem z papierami. Musisz wystąpić jako rozrzutny, zamożny oficer, a więc potrzebna ci spora sumka. Dostaniesz zaufanego służącego, którego będziesz mógł używać jako gońca, o ile zechcesz mi coś zakomunikować. To wszystko.

Nieudany zamach

Na zamku Rodrigandów panowała głęboka cisza. Hrabia rozkazał, by tego przestrzegano, czuł się bowiem bardzo wyczerpany. Najskrupulatniej przestrzegał tego rozkazu stary rządcą Juan Alimpo. Chodził na palcach, skradał się jak kot, jak cień przesuwiał się po pokojach. Tak postępował nawet w swoim mieszkaniu, położonym tak daleko, że hrabia nic by nie słyszał, nawet gdyby wyprawiano w nim najdziksz awantury. Z Juanem rywalizowała jego żona Elvira, jednak z mniejszym o wiele powodzeniem. Rządcą bowiem, zwany również kasztelanem, był to człowiek drobny i szczupły, pani Elvira zaś korpulentna i wysoka. Gdyby postawić ich na wadze, trzeba by pięciu co najmniej Juanów, by przeważyć szalę. Pełna jej twarz promieniała zadowoleniem. Oczy miała pocziwe, dla każdego potrafiła znaleźć dobre słowo. Ponieważ ukochanego jej Juana mimo odmiennej powierzchowności zdobyły te same przymioty charakteru, żyli więc małżonkowie jak dwa gołąbki, nigdy się nie kłócąc.

Alimpo zajęty był właśnie przygotowywaniem pięknych i kosztownych przyborów do pisanja, Elvira natomiast naprawiała efektowny dywan. Rozmawiali ze sobą tak cicho, jak gdyby od hrabiego dzieliła ich zaledwie jedna ściana.

– Czy sądzisz, Elviro, że te przybory spodobają się nowemu lekarzowi z Paryża? – zapytał Alimpo.

– Ależ z pewnością będzie zachwycony. Ciekawa jestem, co powie na ten dywan.

– Będzie olśniony.

– Ale też wybieramy dla niego najpiękniejsze cacka.

– Jest ich wart, moja droga.

– Oczywiście. Serce szczere jak złoto.

– A jaki mądry, jaki uczony.

– A jaki piękny, mój Alimpo!

– Być może. Na tym tylko wy, kobiety, się znacie. Ja wiem jedynie, że go lubię i czuję dla niego głęboki szacunek. A ty?

– Ja także. Taki skromny, a jednak prezentuje się niby jakiś wielki pan, księżę czy hrabia.

– Nasz pan go też bardzo lubi.

– Hrabianka również. Ale ci doktorzy! Nie podobają mi się wcale.

– Ani mnie. Nikomu nigdy nie życzyłem, aby go diabli wzięli, ale tej trójce życzę tego z całego serca.

– Tak. Zamordowaliby naszego pana, gdyby nie ten doktor Sternau. To pewne jak amen w pacierzu.

– A co powiesz o młodym hrabi, Elviro?

– Sama nie wiem. A ty?

– I ja nie wiem. Ale mam wrażenie, że i jego mogliby wziąć diabli razem z tą trójką lekarzy!

– Czy godzi się tak mówić o młodym panu? Choć i ja nie miałabym nic przeciw temu, gdyby go diabli porwali. Nie wygląda na prawdziwego hrabiego.

– Ani odrobinę niepodobny do naszego pana.

– To prawda. A wiesz, do kogo za to podobny? Do starego pana Corteja.

– Myślałem, że powiesz: do pani Clarisy.

Elvira zdumiała się, po namyśle jednak odrzekła:

- Masz rację. I do pani Clarisy podobny. To ciekawe: notariusz i Clarisa... No, no...
- Jestem gotów z moimi przyboremami – powiedział po chwili Alimpo.
- I ja skończyłam z dywanem. Czy zaniesiemy rzeczy do pokoju doktora?
- Tak.

Wyszli na korytarz, przez który przechodziła właśnie trójka hiszpańskich lekarzy, udających się do apartamentów hrabiego Manuela. Mieli poważne, uroczyste miny. Kiedy znaleźli się w przedpokoju, doktor Francas zwrócił się do lokaja:

- Chcielibyśmy odwiedzić hrabiego. Podobno gorzej się czuje?
- Hrabia polecił nie wpuszczać nikogo.
- Nawet lekarzy?
- Nie wymienił nazwisk. Powiedział tylko: nikogo.
- Więc zamelduj nas.
- Nie mam odwagi.
- Dlaczego nie? Przecież jesteśmy lekarzami.
- Muszę słuchać rozkazów hrabiego.
- Ale i naszych. Wobec chorego powinny liczyć się przede wszystkim polecenia lekarza.

– I ja byłem tego zdania. Ale przekonałem się, że nie miałem racji. Przekonał mnie o tym najpierw doktor Sternau, a później sam hrabia. Daliście mi, panowie, polecenie w tym dniu, w którym miała się odbyć operacja, bym nie wpuszczał nikogo, nawet hrabianki. Usłuchałem was, no i hrabia mnie skarcił za to jak nigdy dotąd.

– To twoja wina. Trzeba było użyć siły przeciw hrabiance i temu przybyszowi z Paryża, a nie byłoby tej całej historii. Więc zameldujesz nas czy nie?

Lokaj odparł po pewnym wahaniu:

- Dobrze, spróbuję!

Wszedł do pokoju hrabiego i wrócił po chwili mówiąc, że hrabia prosi.

- A widzisz – rzekł doktor Francas triumfalnie. – Zapamiętaj to sobie na przyszłość.

Lokaj otworzył drzwi. Gdy lekarze weszli, wykonał za ich plecami grymas, daleki od szacunku i uprzejmości.

Hrabia spoczywał w tym samym pokoju, w którym przed kilkoma dniami miała odbyć się operacja. Ubrany w ciepły szlafrok, leżał na obitej aksamitem kanapie. Wyglądał na zmęczonego, lecz nie cierpiącego.

Lekarze wykonali przed nim głęboki ukłon, zapominając, że hrabia tego nie widzi. Stary pan poprosił ich gestem ręki, by usiedli, i po chwili rzekł:

– Słyszeli panowie zapewne, że pragnę spokoju. Jeżeli przyjąłem was, to tylko na dowód mojej dla was życzliwości. Czego chcecie?

Doktor Francas wstał i przemówił w imieniu pozostałych:

- Ekscelencjo, przyszliśmy powodowani troską o pańskie zdrowie. Sądziliśmy, że ekscelencja czuje się gorzej i dlatego tu jesteśmy.
- Dziękuję – rzeki hrabia grzecznie. – Czuję się osłabiony, ale nie ma powodu do obaw.
- Ekscelencjo – wtrącił doktor Milanos z Cordoby – zdarza się, że pacjent uważa swój stan za dobry, mimo iż jest przeciwnie. Tylko lekarz może określić stan chorego.
- Może ma pan rację – odparł hrabia z łagodnym uśmiechem. – Ale doktor Sternau, który jest przecież także lekarzem, stwierdził, że w tej chwili nic mi nie grozi.

Doktor Francas odrzekł na to, marszcząc czoło:

– Doktor Sternau? Ekscelencjo, mój szanowny kolega, doktor Cielli, miał zaszczyt być przez długie lata lekarzem domowym ekscelencji i cieszył się pełnym zaufaniem. My dwaj pospiesziliśmy, by uwolnić hrabiego od cierpienia, które musi się skończyć nieszczęściem, o ile nie zastosujemy natychmiastowych zabiegów. Jesteśmy zwolennikami hiszpańskiej nauki i wiedzy. Oświadczamy z całą stanowczością, że tylko natychmiastowa operacja może hrabiemu uratować życie, gdy tymczasem litotryp musi spowodować niechybną śmierć.

– Czy to istotnie niezachwiane przekonanie panów?

– Tak – odpowiedzieli.

Wtedy hrabia wziął ze stołu pudełeczko, otworzył je i podał lekarzom.

– Przypatrzcie się, proszę, zawartości pudełka – rzeki z uśmiechem.

Doktor Francas przyjrzał się jej niezbyt dokładnie i podał pudełko doktorowi Ciellemu.

– To jakiś proszek – powiedział ten po chwili. – Jeżeli senior Sternau uważa, że cierpienia ekscelencji można uleczyć proszkami i kroplami, to sam na siebie wydał wyrok.

– Mylicie się, panowie. Ten proszek nie jest przeznaczony do tego, bym go zażywał. Wydobyto go ze mnie.

– Co takiego? – zawołał doktor Francas.

– Tak, panowie, ze mnie! Doktor Sternau rozpoczął dziś zabiegi nad moimi kamieniami i oto widoczny rezultat jego pracy. Widzicie, panowie, że żyję jeszcze.

Lekarze mieli miny niezwykle zakłopotane. Po długiej chwili milczenia doktor Francas odezwał się:

– Czy ekscelencja jest przekonany, że substancja w pudełku jest sproszkowanym kamieniem?

Hrabia odrzekł na to z wyraźnym niezadowoleniem:

– Więc ciągle jeszcze uważacie, panowie, doktora Sternaua za kłamcę i oszusta? Mam wrażenie, że w ten sposób sami sobie szkodzicie. Doktor Sternau cieszy się moim bezwzględnym zaufaniem. Wierzę, że uleczy mnie również ze ślepoty. Chciał pracować razem z wami, ale brutalnie go odtrąciliście. Pracujcie, panowie, z nim razem, a chętnie będę słuchał waszych rad i uwzględnię je w miarę możliwości.

Doktor Francas skrzywił się:

– Serdecznie dziękuję. Nie mam zamiaru uczyć się od człowieka, który sam powinien chodzić jeszcze do szkół. Jeżeli hrabia ma do niego więcej zaufania niż do nas, nie mamy na to wpływu. Ale nie możemy również pozwolić, by traktowano nas jak uczniów. Proszę o pozwolenie na powrót do Madrytu.

– A ja wrócę chętnie do Cordoby, gdzie mi przynajmniej ufają – dodał wyniośle doktor Milanos.

– Ja zaś proszę o zwolnienie mnie z obowiązków lekarza domowego ekscelencji – dodał Cielli. – Może zastąpi mnie senior Sternau?

– To prawdziwy atak na mnie – rzekł hrabia uśmiechając się. – Zamek Rodrigandów słynie z gościnności. Ale jeżeli panowie uważają, że należy go opuścić, nic na to nie mogę poradzić. Proszę o przedłożenie rachunków, które ureguluje mój sekretarz. I proszę przyjąć podziękowanie za dotychczasową życzliwość panów dla mnie.

– My również dziękujemy – mówił oschle doktor Francas. – Czy hrabia pozwoli, abyśmy uważali obecną wizytę za pożegnalną?

– Jak panowie sobie życzą. Niech was Bóg prowadzi.

Lekarze uklonili się i wyszli. W przedpokoju doktor Francas zauważył:

– Koniec.

– Niestety – dodał doktor Milanos.

– Zostaliśmy pobici na głowę – zżymał się doktor Cielli. – I to Przez taką figurę!

– No, jeszcze niezupełnie – zaprzeczył doktor Francas. – Jestem przekonany, że wkrótce przyślą po nas.

Rozeszli się, każdy wrócił do swego pokoju. Doktor Francas zastał u siebie hrabiego Alfonsa, notariusza i panią Clarisę.

– No i co, udało się? – zapytał hrabia.

– Tak! – odburknął zapytany.

– Bogu niech będą dzięki!

– Niech hrabia schowa te dziękczynienia na później! Udało się, ale nie nam, lecz Sternauowi.

– Co takiego? A niechże go wszyscy diabli! – zaklął notariusz.

– Nie wiem, czy się tego doczekam! – zawołał doktor Francas.

– Chce pan odjechać, doktorze? – zapytała Clarisa z przerażeniem.

– Tak, hrabia odprawił nas. Sekretarz ma uregulować nasze rachunki.

– Ależ doktorze, pan musi zostać! – rzekł notariusz.

– Nie mam zamiaru narzucać się upartemu staruchowi!

– Będzie pana sam prosił, abyś pozostał.

– To nie jest wykluczone. Lecz kiedy?

– Przede wszystkim niech pan doktor opowie, jak się odbyła ostatnia rozmowa z hrabią.

– Była krótka i zwięzła. Hrabia odprawiłby nas i tak, więc roztropniej było poprosić go o zwolnienie.

Opowiedział dokładnie o wizycie. Hrabia Alfonso podczas całego opowiadania doktora stał przy oknie z miną bardzo ponurą. Gdy doktor skończył, odwrócił się od okna i zapytał:

– Więc Sternau rozpoczął już zabiegi?

– Tak, nie uprzedziwszy nas nawet. Płaci pięknym za nadobne.

– Czy uważa pan, że usunięcie kamieni może się udać?

– Jestem o tym przekonany.

– To się nie może stać, trzeba temu przeszkodzić!

– Ale w jaki sposób, don Alfonso?

– Tym już się zajmie senior Cortejo.

– Tak, zajmę się tym i postawię na swoim! – odparł zdecydowanie notariusz.

Clarisa rezonowała:

– Trzeba usunąć tego natrętnego medyka. Niech nie przeciwstawia się zrządzeniom Opatrzności, niechaj gniew Boży go dosięgnie!

– Doktorze, zechce pan jeszcze jeden dzień zostać na zamku? – zapytał notariusz. – Bardzo proszę. Jestem przekonany, że hrabia Manuel będzie zadowolony, gdy jutro się dowie, że doktor Francas dotąd nie odjechał.

– Jeżeli tak, zostanę do jutra. Ale tylko do jutra.

– Doskonale, niech pan mnie pozostawi całą sprawę! No, ale teraz muszę już iść – rzekł Cortejo.

Wyszedł do parku. Tu, w umówionym miejscu, zagwizdał. Po chwili poruszyło się coś w zaroślach. Wyszedł z nich człowiek ubrany jak wieśniak z okolic zamku. Na jego rękach wisiała czarna kapuza.

– To wy, panie? – spytał. – Czy powiecie wreszcie, co mamy robić? Nudno nam leżeć tu w krzakach.

– Mam dla was zadanie. Musicie usunąć tego człowieka jeszcze dzisiaj.

– Nareszcie. Gdzie on jest?

– Wyszedł z zamku na polowanie. To chyba najlepsza sposobność.

– W lesie nic się nie da zrobić. Trudno go tam będzie znaleźć.

– A więc po jego powrocie tu, w parku.

– Zgoda.

– Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Zwykle spaceruje po parku wieczorem.

– Niech senior będzie spokojny. Strzelamy celnie.

– Nie, nie należy strzelać. Lepiej przebić go sztyletem. Strzały narobiłyby niepotrzebnego hałasu. Wpakujcie mu nóż do ręki i będzie się nazywało, że popełnił samobójstwo.

– Cóż robić, muszę słuchać, chociaż wolałbym go zastrzelić. Słyszałem, że jest niezwykle silny, więc trzeba z nim będzie stoczyć walkę.

– Boicie się? – zapytał Cortejo z ironią.

– Skądże znowu. Polecenie pańskie będzie co do joty wykonane. Ale co z zapłatą? Kapitan polecił mi zainkasować pieniądze.

– Przyjdźcie na to samo miejsce dziś o północy, wtedy otrzymacie całą należność. Po co przynieśliście ze sobą kaptury?

– Czy uważa nas pan za początkujących rozbójników? Trzeba przewidzieć wszystko. Bez kapturew mógłby nas ktoś zobaczyć i później poznać.

– Róbcie, jak chcecie – rzekł notariusz oddalając się w stronę zamku.

Informacja o doktorze była prawdziwa. Sternau udał się z leśniczym do lasu, jednak nie na polowanie, ale odetchnąć górskim powietrzem.

Powrócił z wycieczki, gdy słońce już zbliżało się ku zachodowi.

Niósł strzelbę w ręku. Jedna jej lufa była naładowana śrutem, druga kulami, nie miał bowiem podczas wycieczki okazji do strzału. Pożegnał się z leśniczym i pogrążony w rozmyślniach szedł wolnym krokiem do parku. Nagle zobaczył przed sobą jasny punkt. Była to Roseta ubrana w białą suknię.

Oczekiwała kogoś spoglądając w kierunku lasu. Wiedziała, że Sternau poszedł tam z leśniczym, a jakiś niewytłumaczalny lęk skierował jej kroki do parku.

Spotkali się więc teraz niespodzianie. Roseta uradowana wyciągnęła do Sternaua ręce, po chwili jednak cofnęła je oblewając się rumieńcem.

– Ujrzałam seniora tak nieoczekiwanie – rzekła, jak gdyby chcąc się usprawiedliwić. I zaraz zmieniła temat. – Notariusz pytał o pana.

Sternau przełożył strzelbę do lewej ręki, prawe ramię zaś podał hrabiance. Szli tak pod rękę w kierunku zamku.

– Trzej nasi lekarze mają opuścić zamek – mówiła dalej Roseta.

– To szkoda. Chętnie bym im pokazał, w jaki sposób hrabia Manuel wyzdrowieje i odzyska wzrok.

– Więc sądzi pan, że ojciec odzyska wzrok?

– Jestem niemal pewien.

– A ci ludzie jeszcze dziś mówili, że to wykluczone. Ale na Boga, cóż to takiego?

Z zarośli wychyliła się jakaś postać okryta czarnym płaszczem z kapturem, spod którego widać było błyszczące oczy. W tej samej chwili rozległ się okrzyk:

– Naprzód, zakłuć go! – i kilka postaci rzuciło się z nożami na Sternaua.

Doktor nieraz był w podobnych tarapatkach. Podczas swych wędrówek po różnych krajach walczył i z Indianami Ameryki Północnej, i z Beduinami, i z Malajczykami, i z Papuasami Nowej Gwinei. Z walk tych wychodził z życiem tylko dzięki przytomności umysłu i zdolności błyskawicznego orientowania się w sytuacji. Puszczając ramię towarzyszki, odskoczył o kilka kroków w bok i wystrzelił dwa razy. Dwaj napastnicy padli na ziemię. Wtedy chwycił lufę strzelby i grzmotnął kolbą trzeciego. W tejże chwili czwarty przebił mu górną część ramienia. Odrzucając strzelbę, która mu teraz przeszkadzała, Sternau chwycił go za gardło i zdzielił pięścią w skroń z taką siłą, że zbir upadł, tracąc przytomność. Na ten widok ostatni z rozbójników uciekł.

Przerażenie poraziło Rosetę. Stała nieruchomo jak posąg. Po chwili jednak zaczęła drzeć na całym ciele i oparła się o drzewo. Trupio blada, zamknęła oczy, bo sił nie miała, żeby parzeć na walkę ukochanego z tak przeważającym przeciwnikiem.

– Hrabianko – powiedział Sternau, otaczając Rosetę ramieniem – proszę się uspokoić.

Na dźwięk jego głosu oprzytomniała i otworzywszy oczy krzyknęła radośnie:

– Carlosie!

Rzuciła mu się na szyję i szlochając przytuliła do jego piersi...

– Roseto! – rzekł cicho z głębi przepełnionego miłością i szczęściem serca. – Roseto! Uratowałem się z rąk tych zbrojów. Wzrok jej padł na jego krwawiące ramię.

– Na miłość boską, przecież pan ranny! – zawołała z przerażeniem.

– To drobiazg, prędko się zagoi.
– Straszni ludzie! Kimże oni są, co im pan złego wyrządził? Czterech nie mogło ci dać rady, ty mój najwspanialszy Carlosie.

Znowu oparła głowę na jego piersi. Sternau stracił panowanie nad sobą. Pochylił się i namiętnie pocałował usta dziewczyny. Po długiej chwili wyrwała mu się ze słowami:

– Ktoś idzie...

Rzeczywiście słyhać było kroki. Ścieżką zbliżał się Juan Alimpo w otoczeniu dwóch pomocników ogrodnika. Usłyszeli strzały i zaniepokojeni przeszukiwali park.

Gdy Alimpo zobaczył hrabiankę i doktora, a obok nich czterech leżących na ziemi napastników, stanął jak wryty.

– Condeso! Panie doktorze! Co się stało? – zawołał.

– Chciano zamordować doktora – odparła Roseta.

– Zamordować? Muszę to powiedzieć mojej Elvirze. – Załamał ręce i powiódł dokoła wzrokiem, jakby szukając żony.

– Lecz doktor zwyciężył. Wszystkich czterech położył trupem.

– Czterech naraz?

– No, no, zabiłem tylko trzech – sprostował Sternau. – Tego czwartego uderzyłem pięścią między oczy. Stracił przytomność. Trzeba tym ludziom pozdejmować kaptury. Może poznamy kogoś z nich?

– Ależ, doktorze, czy nie należałoby naprzód opatrzyć pańskiej rany?

– Można z tym poczekać, cięcie nie jest groźne.

– Więc pan jest ranny, doktorze? – biadał Alimpo. – To straszne. Szkoda, że nie ma tu mojej Elviry, ona tak świetnie opatruje. Niech pan pozwoli, abym przynajmniej zatamował krew!

Przewiązał chustką ramię doktora, a następnie wraz z dwoma ogrodnikami pochylił się nad zbirami. Nikt z obecnych nie znał tych ludzi. Dwóm kule przebiły serca, trzeciemu zaś uderzenie kolbą zmiażdżyło głowę. Roseta odwróciła oczy od strasznego widoku.

– Co za uderzenie, co za siła! – zachwycał się Alimpo.

– Czy ma ktoś sznur? – zapytał Sternau nachylony nad czwartym opryszkiem. – Żyje, tylko jest nieprzytomny. Trzeba go związać. Będzie nam musiał powiedzieć, kim jest i dlaczego chciał mnie wraz z towarzyszami zabić.

– Tak, będzie musiał wszystko powiedzieć – rzekł Alimpo. – Inaczej rozedrę go na kawałki. Staję się okrutny, panie doktorze, gdy wpadnę w gniew.

Sternau uśmiechnął się.

– A czy zdarzyło to się już kiedyś?

– Nie, nigdy. Ale wiem, że byłbym okrutny jak tygrys albo krokodyl!

Po tych groźnych słowach wyciągnął z kieszeni sznurek i mocno związał na plecach ręce nieprzytomnego zbira.

– Co pan jeszcze rozkaże? – zwrócił się do doktora.

– Idę teraz z hrabianką na zamek, żeby przysłać panu pomoc – powiedział Sternau. – Gdy ten opryszek odzyska przytomność, trzeba go przenieść w bezpieczne miejsce. Ciała niech tu zostaną, dopóki nie zjawią się władze, by spisać protokół.

– Już ja przypilnuję tego zbója tak, by nie mógł uciec!

– Dobrze, ale niech pan będzie bardzo ostrożny. Jeden morderca uciekł. Być może wróci z innym, aby odbić towarzysza.

– Aby odbić towarzysza? – powtórzył trwożnie Alimpo. – A ja mam przy nim pozostać? Może będą jeszcze strzelać albo kłuć nożami? O, gdyby wiedziała o tym moja biedna Elvira!

– Uważam pana za człowieka niezwyklej odwagi, senior Alimpo – rzekł Sternau.

– Odwagi? To za mało. Jestem nie tylko odważny, lecz także dzielny, a przede wszystkim zuchwały, bezgranicznie zuchwały, zwłaszcza w momencie niebezpieczeństwa. Ale sztylet to rzecz niemiała, a strzał może się skończyć jeszcze gorzej.

– Zostawiam panu moją strzelbę, poza tym ma pan do dyspozycji sztylety zabitych. To wystarczy dla obrony.

Sternau nabił strzelbę i chciał ją podać Juanowi, ale ten cofnął się gwałtownie.

– Niech mi senior tego nie daje – błagał. – Nie znoszę broni palnej, może eksplodować, można się samemu postrzelić. Niech strzelbę weźmie któryś z ogrodników. Obydwie lufy są naładowane, więc w razie czego na każdego z nich wypadnie po strzale. Ja zaś biorę sztylety pokonanych opryszków. Można nimi od biedy zabić czterech wrogów.

Spełniono życzenie don Alimpa, po czym Sternau poszedł z hrabianką do zamku. Prosił ją, żeby sama opowiedziała hrabiemu o wypadku. Bał się, że wiadomość ta przekazana przez kogo innego wpłynie ujemnie na stan zdrowia chorego. Posławszy ludzi na miejsce, na którym pozostał Alimpo wraz z ogrodnikami, zmierzał do swego pokoju, by zrobić sobie opatrunek.

Na schodach spotkał panią Clarisę. Zobaczywszy przewiązane ramię doktora, zapytała:

– Co się panu stało, doktorze?

Zdumiał się, że osoba, która ignorowała go od dnia jego przybycia na zamek, raczyła się odezwać. Mimo to odparł grzecznie:

– Jestem ranny.

– Ranny? Czy to możliwe? Kto pana zranił?

– Nieznani sprawcy. Chcieli mnie zamordować.

– Święta Laureto, a więc nie jest się pewnym życia nawet na zamku Rodrigandów! Powiedział pan, że sprawcy są nieznani. Czy widział ich ktoś oprócz pana?

– Tak, rządcą Alimpo i dwaj pomocnicy ogrodnika.

– Uciekli?

– Jeden na pewno, ale trzech zabiłem, czwartego zaś ujęliśmy. Rządcą przyprowadzi go wkrótce.

Clarisa zbladła. Drżąc na całym ciele, powiedziała niepewnym głosem:

– To przerażające! Planowane morderstwo! Oby Bóg pomógł wykryć zbrodniarzy i ukarać winnych. Czuję się tak słabo, że muszę zrezygnować ze spaceru, który właśnie miałam odbyć.

– Czy mogę pani służyć ramieniem i odprowadzić do mieszkania? – spytał Sternau.

Skinęła głową. Lęk, że cała sprawa wyjdzie na jaw, odebrał jej wszystkie siły, Sternau odprowadził ją do drzwi i pożegnał ukłonem. Był zadowolony, że się pozbył tej starej bigotki, do której czuł dziwną niechęć.

W swoim pokoju Clarisa bezsilnie padła na kanapę. Po chwili poleciła służącej, żeby natychmiast poprosiła notariusza Corteja.

– Posłałaś po mnie. Co masz aż tak pilnego? – spytał wchodząc.

– Stało się nieszczęście, wielkie nieszczęście! – zawołała. – Nie wiem wprost, jak ci o tym powiedzieć.

– Zwyczajnie, bez ogródek – zachęcał, nie spodziewając się niczego złego.

– Stało się coś strasznego, coś, co może nas diabelnie drogo kosztować!

– Mówże wreszcie zamiast rozpaczać! No, szybko!

– Dziś w parku urządzono zasadzkę na doktora Sternaua...

Drapieżna twarz notariusza rozjaśniła się uśmiechem. Pewny, że plan jego się udał, powiedział spokojnie:

– I co z tego? Nie widzę w tym żadnego nieszczęścia. Kto ci powiedział o napadzie?

– W tym właśnie sęk! O Boże, o Boże! Co my pocniemy?

– Przestań już jęczeć, do diabła! Więc kto ci powiedział?

– Sam Sternau!

Cortejo skoczył jak oparzony.

- Sternau? To niemożliwe!
- A jednak to prawda. Tak mnie to przeraziło, że pozwoliłam, by ten wstrętny przybłęda odprowadził mnie do mieszkania.
- Więc nic mu się nie stało?
- Jest tylko lekko ranny w ramię.
- Będę musiał nauczyć tych łajdaków, jak obchodzić się ze sztyletem.
- Przyjdzie ci to niełatwo, bo trzech Sternau zabił, czwartego zaś ujął
- Psiakrew! – zaklął Gasparino. – Umarli nie przemówią, ale ten jeden...
- Czy może cię zdradzić?
- Oczywiście. Widzieli mnie przecież wszyscy, rozmawiałem z nimi.
- Byłeś nieostrożny. Biada nam!
- Daj pokój krzykom i lamentom! Trzeba pomyśleć o wyjściu z tej okropnej sytuacji.
- Jedynym wyjściem będzie uwolnić jeńca.
- Otóż to. Ale z tym trzeba poczekać na odpowiedni moment, a kto wie, czy ten człowiek będzie milczał do tego czasu. Komisja sądowa nie może przybyć wcześniej niż jutro, jeniec pozostanie więc przez dzisiejszą noc na zamku. Będziemy musieli uwolnić go w nocy. Żeby się tylko przedtem nie wygadał.
- Trzeba mu dać jakiś znak.
- Masz rację. Zupełnie straciłem głowę. Pójdę do parku, może coś da się zrobić. Ale to siłą z tego Sternaua. Z czterema się uporał! Można go będzie sprzątnąć tylko podstępem.
- Masz już gotowy plan?
- Jeszcze nie.
- W każdym razie Sternau musi umrzeć.
- Ja też tak uważam. No, a teraz idę do parku.

Zebrała się tam większość mieszkańców zamku, poruszona wypadkiem, jaki się nigdy jeszcze w Rodrigandzie nie zdarzył. Cortejo miał szczęście. W tym momencie, gdy podchodził do miejsca napadu, jeńca odtransportowywano do zamku. Odzyskał już przytomność. Był to ten sam człowiek, z którym notariusz rozmawiał przed zamachem. Oczy ich spotkały się na chwilę. Cortejo położył palec na ustach, rozbójnik odpowiedział skinieniem głowy.

Usłyszawszy o zamachu na gościa, hrabia zdenerwował się bardzo. Roseta z wielkim trudem zdołała go uspokoić. Poleciał, aby śledztwo w tej sprawie przeprowadzono z największą skrupulatnością.

Trzej lekarze, domyślając się sprawcy zbrodni, odjechali wieczorem. Ponieważ zamach się nie udał, obecność swoją uznali za zbyteczną.

Rana Sternaua nie była groźna. Nie przeszkadzała mu wcale w leczeniu hrabiego. Stary pan serdecznie polubił nowego lekarza i gorąco pragnął dowiedzieć się, kto był inicjatorem napadu. Jeniec milczał jak zakłęty. Nie można było wydobyć z niego ani słowa.

W domu rządcy toczyła się ożywiona rozmowa na temat zajścia w ogrodzie.

- A więc, droga Elviro, opowiem wszystko dokładnie – rzekł Alimpo.
- Proszę bardzo, mój drogi.

Rządca wziął w dłoń miotłę i zaczął:

- Było ich co najmniej pięciu. Wyobraź sobie, że jednym z nich jest nasz zegar ścienny, drugim szafa, trzecim stół, czwartym lampa, piątym zaś kufer, tam w kącie. Zrozumiałaś?
- Tak.
- Doskonale. Morderców już mamy. Teraz trzeba jeszcze doktora i hrabianki Rosety. Doktorem będę ja, hrabianką ty.
- Dobrze – powiedziała krygując się, by nadać swej korpulentnej postaci dostojęstwa.
- A więc ja, doktor Sternau, wracam z polowania z dubeltówką na ramieniu. – Po tych słowach położył na ramieniu miotłę i ciągnął dalej: – Spotykam w parku ciebie, czyli condese

Rosetę. Składam jej ukłon, ona odpowiada. W tym momencie napada na mnie pięciu zbirów. Pierwszy, zegar ścienny, doskakuje do mnie. Chwytam za dubeltówkę, piff-paff – gotów! – Wycelował miotłą w powietrze. – Drugi, a więc szafa, idzie na mnie ze sztyletem. Ja znów piff-paff – gotów! Zjawia się trzeci, stół, zabijam go kolbą. Teraz kolej na czwartego, na lampę. Nie mam już naboju. Jest za blisko, bym mógł uderzyć go kolbą. Biję więc pięścią w łeb, ot tak mniej więcej. – I zaczął walić w lampę. Po chwili rozłupnął ją na drobne kawałki.

– Ależ, mój drogi – obruszyła się Elvira. – Cóż ty wyprawiasz?

– Cicho, Elviro. Jesteś hrabianką, a jej nie interesuje sprawa lampy. Musiałem zabić czwartego, skoro mnie zranił w ramię.

– Może masz rację, ale szkoda naszej pięknej lampy. Ponieważ jednak rozbiłeś ją dla kochanego doktora, przebaczam ci to.

– Tak, Elviro, rozbiłem ją dla naszego doktora. Dla niego zniszczyłbym jeszcze wiele rzeczy, wielu ludzi. W parku uzbroilem się w cztery sztylety, żeby stanąć przeciw tym zbojcom.

– Ty? – zdziwiła się.

– Tak, ja, twój Alimpo – odparł z dumą.

– Na Boga! Cztery sztylety? Kogo miałeś nimi zabić?

– Zbirów, w przypadku gdyby powrócili.

– To straszne! – zawołała załamując ręce. – Ależ, człowieku, jesteś potworem łakącym krwi! Opamiętaj się! Z każdą chwilą stajesz się bardziej porywczy i zuchwały.

– Taki już mam charakter! – odrzekł, groźnie podkreślając wąsa. – Zejdź do zbrojowni, droga Elviro, i przynieś mi miecz starego rycerza Arbicauld de Rodrigandy.

– Ten olbrzymi miecz? – zdumiała się. – Po cóż ci on?

– Mam dzisiejszej nocy pilnować jeńca.

– Oszalałeś? Chcesz trzymać straż przy jeńcu? A jeżeli ucieknie? Szukasz pewnej śmierci! Chcesz się poświęcać dla innych?

– Ani mi to w głowie. Ale przynieś mi miecz. Będę czuwał nad jeńcem zamkniętym w piwnicy tu, w moim pokoju. Jeżeli ucieknie, nie zobaczy mnie nawet. A gdyby wpadł tutaj, ucieknie na sam widok miecza!

Hrabianka weszła do pokoju ojca, przy którym czuwał Sternau. Oddychała szybko, widać było, że przychodzi z jakąś nowiną.

– Ojczy, przynoszę ci radosną wiadomość. Przed chwilą otrzymałam list.

– Przeczytaj go, o ile doktor Sternau pozwoli – rzekł hrabia.

– Pozwoli na pewno – odparła Roseta. – Słuchaj:

Droga Roseto

Ojciec został mianowany ambasadorem w Meksyku. Jadę oczywiście razem z nim. Chciałabym cię koniecznie zobaczyć. Pojutrze przybędę na zamek. Jeżeli chcesz, wyjedź na moje spotkanie do Pons. Ściskam Cię mocno. Złóż ojcu wyrazy szacunku.

*Twoja
Amy Dryden.*

Hrabia zwrócił się do Sternaua:

– Miss Amy Dryden jest córką sir Henry'ego Drydena, hrabiego Nothingwell. Moja córka poznała ją w Madrycie.

– Czy będę mogła jutro pojechać do Pons?

– Ależ oczywiście – odparł hrabia. – Słyszałem, że jutro jest jarmark w Pons. Dobrze będzie, jeżeli zabierzesz ze sobą rządcę. – Będę miała walecznego opiekuna – uśmiechnęła się

Roseta. Sternau zaproponowałyby chętnie swe usługi, ale nie mógł przecież opuścić hrabiego. Dlatego też nie odezwał się ani słowem.

Gdy wszyscy już się w zamku poukładali spać, dwoje ludzi poszło po kryjomu do piwnicy, w której zamknięty był jeńiec. Byli to hrabia Alfonso i notariusz Cortejo. Przed drzwiami piwnicy zastali dwóch lokai, którzy pilnowali jeńca, siedzących w milczeniu na ziemi przy zapalanej latarni. Cortejo został w tyle, Alfonso zaś podszedł do nich. Na widok hrabiego wstali i złożyli głęboki ukłon.

– Łajdak zamknięty jest za tymi drzwiami, prawda? – zapytał Alfonso.

– Tak – odpowiedział jeden z lokai.

– Mam nadzieję, że będziecie go dobrze pilnować. Gdyby zbiegł, poniesiecie surową karę. Dajcie no latarnię!

Udał, że chce zapalić papierosa, i umyślnie tak wziął latarnię z rąk sługi, że spadła mu na ziemię i zgasła.

– Niedołęgo! – zawołał. – Podnieś latarnię!

Po tych słowach schylił się i niepostrzeżenie podniósł latarnię. Lokaj szukał na próżno. Alfonso karcił go, łajał, a tymczasem notariusz podkradł się pod drzwi piwnicy, cicho otworzył zamek i wszedł do środka. W ciemności lokaje nie zauważyli niczego. Po chwili notariusz położył rękę na plecach Alfonsa jako umówiony znak, że wszystko poszło dobrze. Hrabia postawił latarnię na ziemi. Gderał z udaną złością:

– Cóż, do diabła, czy mam wam pomóc?

– Latarnia się znalazła – zawołał lokaj – ale oliwa wylana.

– Jeszcze wystarczy.

Alfonso zapalił knot. Otworzywszy drzwi do piwnicy, poświecił nią przez chwilę. Lokaje stali za nim.

– Jeniec śpi jak zabity! – rzekł hrabia. – Trzeba go zostawić w spokoju. – Po tych słowach ruszył schodami na górę.

Tymczasem notariusz wymknął się z zamku wraz z jeńcem. Szli nie mówiąc ani słowa. Dopiero po pewnym czasie Cortejo zatrzymał się i powiedział twardo:

– Dzielnie spełniłeś rozkaz, nie ma co! Mam ci jeszcze może wypłacić pieniądze, co?

– Przebaczenie, panie – odparł tamten. – Nieszczęście każdemu się może przytrafić.

– Ale to była sprawa zbyt wielkiej wagi! Mam wrażenie, że kapitan przysłał mi samych tchórzów!

Rozbójnik podszedł do notariusza i zapytał ostro:

– Chciał mnie senior obrazić?

– Phi! Jeżeli tylu ludzi nie może sobie dać rady z jednym człowiekiem, to jakże ich nazwać, jeżeli nie tchórzami?

– Dlaczego więc nie zabił go pan sam, przebywając razem z nim przez całe dni? Kto ma ciągłą sposobność zgładzić wroga, a innych prosi o pomoc, ten jest tchórzem, oto co panu powiem! Ale senior nie jest dla mnie hersztem ani osobą, która ma prawo mnie łajać. Nie jest pan nikim lepszym ode mnie, a jeżeli pana wydam, zginie senior mamie. Dlatego też radzę: niech pan będzie ostrożny, a ode mnie wara! Wśród moich kolegów nie ma ani jednego, którego by można nazwać tchórzem.

– Dlaczego nie pokonaliście tego człowieka?

– Któż mógł przypuszczać, że jest tak diabelnie silny!

– Było was przecież tylu!

– Mieliśmy rozkaz użycia tylko sztyletu. Nie pozwolił pan nam przecież strzelać. To sam senior ponosi winę.

– Aha! – roześmiał się notariusz. – Jeszcze gotów jesteś zażądać ode mnie zapłaty.

– Naturalnie! To pan jest winien, że trzech moich towarzyszy zginęło. Będzie pan musiał zapłacić.

– Nie prędzej, aż zabijecie tego doktora!

– My?!

– A od czego jesteście?

– Spehiliśmy już nasze zadanie! Nie nasza wina, że było nieprzemyślane. Żądam pieniędzy. Jeżeli nie otrzymam ich zaraz, zapłaci pan później więcej, bo kapitan będzie się domagał odszkodowania za zabitych.

– A idźże do wszystkich diabłów!

– Dobrze, odchodzę! – odparł rozbójnik z szyderstwem w głosie i zniknął w ciemnościach.

Cortejo nie spodziewał się tego. Zaczął wołać za odchodzącym, ale bez skutku. Był zły i zaniepokojony. Obawiał się, że rozbójnicy mogą go zdradzić. Wróciwszy do zamku, położył się do łóżka, jednak nie mógł za nic zasnąć.

Następnego dnia rano panował na zamku niezwykły gwar i ruch. Świadczyło to, że stało się coś szczególnego. Zaledwie Cortejo zdążył się ubrać, zapukano do drzwi.

– Czy pan śpi jeszcze? – usłyszał głos służącego.

– Leżę jeszcze w łóżku – skłamał.

– W takim razie niech senior wstaje i prędko się ubiera. Hrabia Manuel chce z panem mówić. Jeniec uciekł w nocy.

– Jakim sposobem? – zawołał notariusz z udanym zdziwieniem. – Już idę.

Po kilku minutach zameldował się u hrabiego Manuela. Zastał tam hrabiankę, Clarisę i hrabiego Alfonsa.

– Czy wie pan, po co go wezwałem? – zapytał hrabia.

– Tak, ale chyba słuch mnie myli.

– Niestety, to prawda, rozbójnik uciekł!

– Nie do wiary! Pilnowało go przecież dwoje ludzi.

– A jednak...

– No, no – mruknął notariusz. – Czy don Alfonso opowiadał hrabiemu, że w nocy sam kontrolował, czy piwnica jest odpowiednio strzeżona?

– Owszem, wiem o tym.

– W takim razie to wina służby.

– Nie sądzę.

– I ja jestem przekonana, że ci dwaj ludzie są niewinni – wtrąciła Roseta. – Wierzę, że są uczciwi i wierni.

– Jak w takim razie zdaniem hrabianki mógł uciec jeniec? – zapytał Cortejo.

– Trzeba sprawę wyjaśnić. Ojciec przywołał pana, aby pan się tym zajął.

– Miejmy nadzieję, że uda się ustalić winnych. Pójdę obejrzeć piwnicę.

Dochodzenie, jak się można było spodziewać, nie dało żadnego rezultatu.

Poranny hałas obudził Sternaua. W korytarzu spotkał rządce, który miał minę ogromnie zakłopotaną.

– Czy pan wie, doktorze – powiedział – że ten łajdak, ten morderca, uciekł?

– Niemożliwe! – zawołał Sternau z niedowierzaniem.

– Niestety, to prawda. Uciekł, jest już za górami, za lasami. Moja Elvira mówi to samo.

– Ale w jaki sposób udało mu się uciec?

– Tego nikt nie wie, nawet moja Elvira. Postawiłem przecież pod drzwiami dwoje ludzi. Don Alfonso sam był w nocy przed piwnicą, aby sprawdzić, jak go pilnuję. Widział jeńca na własne oczy. A dziś rano, gdy otworzono drzwi piwnicy, jeńca nie było.

– To dziwne! Trzeba to zbadać, bo jeżeli tego człowieka nie uda się odszukać, zagadka napadu pozostanie nie wyjaśniona.

– Co robić, panie doktorze? Sąd się zjawi, rozpocznie śledztwo, a tymczasem głównego sprawcy nie ma. To przykre, to nawet zawstydzające. Tak mówi Elvira. Ale ja tu z panem rozmawiam, a czeka mnie jeszcze dużo pracy. Muszę się spieszyć, jadę przecież z hrabianką Rosetą do Pons.

Alimpo był przejęty swą misją: oto miał ochraniać w drodze hrabiankę. Serce w nim rosło na myśl, że będzie rycerzem najpiękniejszej panny Hiszpanii.

Alfred de Lautreville

W Pons odbywał się właśnie jarmark. Na drogach prowadzących do miasteczka od wczesnego ranka panował wielki ruch. Dwaj mężczyźni zbliżali się do miasta od wschodu. Nie szli gościńcem, lecz bocznymi ścieżkami. Obaj mieli długie pirenejskie strzelby oraz sztylety i rewolwery za pasem. Nie wyglądali na ludzi łagodnych i spokojnych. Jeden z nich miał na plecach coś w rodzaju kaptura podobnego do tych, którymi zamaskowani byli rozbójnicy podczas napadu w ogrodzie zamkowym. Czyżby więc łączyło ich coś z tą sprawą?

Istotnie, ten z kapturem był rozbójnikiem, który po napadzie zdołał uciec, drugi zaś jeńcem, któremu notariusz pomógł w ucieczce. Dziwnym zbiegiem okoliczności spotkali się w drodze do Pons.

– Więc cóż, Bartolomé – przerwał jeden z nich długie milczenie – co teraz pocniemy?

– Wracam do kapitana.

– Ani mi to w głowie – mruknął drugi. – Da sobie radę beze mnie. Wcale mi nie spieszo do kary, jaka nas spotka za nieudany zamach.

– Masz rację, Juanito. Co jednak robić, trzeba wrócić. Przysięgliśmy przecież.

– Eee tam! Przysięga dana hersztowi zbójców nie wiąże. Postąpię, jak postępują kupcy: zacznę prowadzić interes na własną rękę. Czy przystąpisz do spółki?

– Czy ja wiem?

– Zastanów się, Bartolomé! Kapitan zabiera lwią część naszych łupów, wszystkie tajemnice, wszystkie kryjówki zachowuje dla siebie. Harujemy, narażamy się na więzienie, na stryczek, a on siedzi sobie w domu i udaje pana. Czy wiesz, ile wziął za zabójstwo tego doktora? A ile z tego my dostaniemy?

– Kilka parszywych dukatów.

– Dlaczego więc nie moglibyśmy pracować na własną rękę? Można by schwytać jakiegoś bogatego pana i wziąć za niego niezły okup.

– Masz rację, Juanito! Ale w takim razie trzeba porzucić te strony. Gdyby nas herszt dostał w swoje ręce, bylibyśmy zgubieni.

– Wywędrujemy za Ebro. Ale przedtem musimy zdobyć pieniądze na podróż. Na jarmarku obłowimy się. Idziesz ze mną?

– Dobrze, ale najpierw schowajmy broń, bo z pistoletami i strzelbami zwrócimy na siebie uwagę.

– Broń ukryjemy jutro, a teraz trzeba poszukać miejsca, gdzie moglibyśmy spokojnie spędzić noc.

Przenocowali w lesie, rano zaś ukryli broń i udali się w kierunku Pons. Postanowili napaść na kogoś zmierzającego do miasta i zabrać mu pieniądze.

Długo leżeli w krzakach, żaden bowiem z przejezdnych i z przechodniów nie wyglądał na bogacza. Po pewnym czasie usłyszeli tętent kopyt i jakiś pojazd mignął im przed oczyma. Bartolomé wyskoczył z zarośli. Po chwili wrócił naburmuszony.

– Do wszystkich diabłów! To przejeżdżała hrabianka z zamku, ta, co stała obok doktora podczas naszego napadu.

– Naprawdę? Ją warto obrabować!

– No chyba. Ale powóz mknął tak szybko, że nie zdążyłem wypalić.

– Chciałeś ją zabić?

– Nie jestem głupi! Chciałem zabić konie. Wtedy wpadłaby w nasze ręce.
– Niezły pomysł. Ale zabić taką cudowną, a do tego bezbronną kobietę, to byłoby nikczemne.

– Z jej służbą uporalibyśmy się łatwo. Woźnica nie wyglądał na bohatera, a ten drugi, którego wczoraj nazywano rządcą, to tchórz, przed byle muchą ucieka. Hrabianka ma z pewnością sporo pieniędzy przy sobie. Zaczekamy tu na jej powrót, zgadzasz się?

– Dobrze – przytaknął Juanito. – O lepszym łupie nie można było nawet marzyć. Przede wszystkim zastrzelimy konie, potem rozejrzemy się, co robić dalej.

Hrabianka Roseta spieszyła się do Pons. Przybywszy tam, wysiadła przed najlepszym hotelem i udała się do pokoju, który zawsze wynajmowała, ilekroć była w mieście. Pokój był wprawdzie wynajęty, ale gospodarz zgodził się, aby Roseta poczekała w nim na swoją przyjaciółkę. Alimpo i woźnica udali się na pocztę i tam czekali na przyjazd lady Dryden.

Po upływie pół godziny przed pocztą stanął zaprzężony w sześć mułów omnibus. Wysiadła z niego dama w podróżnym płaszczu i w woalce. Alimpo podszedł do niej i ukłoniwszy się głęboko, rzekł:

– Witam panią. Mam przyjemność z lady Dryden, nieprawda?

Dama odpowiedziała z uśmiechem:

– Tak, jestem Anny Dryden. A pan kim jest?

– Jestem rządcą zamku Rodrigandów. Nazywam się Juan Alimpo. Moja Elvira...

Lady Dryden spytała wesoło:

– Któż to jest Elvira?

– To moja żona, miss, seniorita Amy, donia Dryden.

– Czy pan sam mnie oczekuje?

– O nie! Hrabianka Roseta jest tutaj. Czeka na panią w hotelu.

– Niech mnie więc senior do niej zaprowadzi.

Alimpo prowadził Angielkę do swej pani z miną tak uroczystą, jak gdyby pełnił niezwykle funkcję.

Roseta, zobaczywszy z okna przyjaciółkę, wybiegła naprzeciw niej. Spotkały się w korytarzu hotelowym. Angielka odsłoniła nareszcie woal i Alimpo ujrzał twarzyczkę tak czarującą, że nie mógł przez chwilę oderwać od niej oczu. Dopiero spojrzenie Rosety zwróciło mu uwagę, że powinien się oddalić. W sieni natknął się na woźnicę, niosącego ogromne pakunki lady.

– Co za cudowna dziewczyna – powiedział do niego. – Co za włosy! Jeszcze chyba bardziej złote od samego złota. A jak całuje! O, gdybym ja otrzymał ten całus zamiast hrabianki... Czego się gapisz? Bierz te rzeczy i rób, co do ciebie należy!

Alimpo zauważył dopiero teraz, że woźnica słucha go z otwartymi ustami. Rzucił mu groźne spojrzenie i odszedł.

Obie panie, nagawędziwszy się do woli, stanęły w oknie i obserwowały ożywiony ruch jarmarczny miasteczka. W pewnej chwili Angielka uniosła się na palcach i rzekła do przyjaciółki:

– Roseto, czy widzisz tego oficera?

– Tak. To huzar.

– Znasz go?

– Skądże znowu. Ale po mundurze poznaję, że to Francuz.

Był to Mariano, który po drodze na zamek Rodrigandów zawitał do miasteczka. Widząc go w pięknym mundurze huzarskim, na ognistym rumaku, nikt nie przypuściłby, że ten młody człowiek należy do szajki rozbójników. Towarzyszył mu w odpowiedniej odległości służący, również rekrutujący się z bandy. Mariano jechał w kierunku hotelu, gdzie chciał wypocząć. Na ulicy stał dosyć wysoki wózek z pomarańczami. Zamiast wyminąć, Mariano przesadził go na rumaku, jakby to była drobna, niewielka przeszkoda.

– Brawo! – zawołała Roseta, klaszcząc w ręce.

– Wspaniały jeździec – Angielka obrzuciła go wzrokiem pełnym podziwu. Mariano zatrzymawszy konia, spojrział w okno, przy którym stały obie panie:

– Widziałas? – zapytała Amy, oblewając się rumieńcem. – Patrzył na ciebie.

– Na mnie? Skądże znowu! To na ciebie zwrócił uwagę.

– Co ty mówisz! Jesteś przecież taka piękna...

– Ale ty jeszcze piękniejsza! Nie wierzysz mi? Gotowa jestem ci dowieść.

– Ciekawe, w jaki sposób?

– Urządzimy sąd polubowny.

– Wspaniale! Ale kto będzie arbitrem? Chyba nie ten pan Alimpo, który nazywa mnie i donią, i senioritą, i miss!?

– Oczywiście, nie on! Alimpo to poczciwy człowiek, ale na arbitra się nie nadaje, zwłaszcza że bez swojej Elviry nie wypowie żadnego sądu ani zdania. Ale jest ktoś na zamku, kto oceni sprawiedliwie. Nasz lekarz.

– Dlaczego on ma być specjalistą od piękności, a nie od lekarstw, mikstur i maści? – zapytała Amy, marszcząc nos.

Roseta odparła z uśmiechem:

– Lekarz może się znać nie tylko na medykamentach. Doktor Sternau...

– Sternau? Przecież to niemieckie nazwisko. Opowiadałaś kiedyś, że lekarzem waszym jest doktor Cielli.

– Był nim, ale już nie jest. Wyobraź sobie, że ojciec mój ma odzyskać wzrok!

– Niemożliwe! Ależ to byłoby szczęście! Opowiadaj, Roseto, opowiadaj!

– Opowiem ci wszystko w powozie po drodze na zamek. Jedziemy zaraz, nie chciałabym, aby ojciec się niecierpliwił.

Po chwili panie zeszły, żeby wsiąść do powozu.

Przed hotelem stały konie huzarów. Mariano wszedł do restauracji na lampkę wina. Siedział nad nią zamyślony, mając ciągle w pamięci parę niebieskich oczu, które zobaczył w oknie hotelu.

Usłyszawszy odjeżdżający powóz, podszedł do okna. Ujrzał na drzwiczkach powozu herb, na którym wymalowana była złota korona hrabiowska w białym polu z literami R. S. pośrodku.

Serce zabiło mu gwałtowniej. To było ucieleśnienie jego snów! Przywołał właściciela hotelu i zapytał:

– Czyj to powóz?

– Hrabiego Manuela Rodrigandy.

– Rodrigandy? Cóż jednak oznacza litera S?

– Hrabia nazywa się Manuel de Rodriganda y Sevilla. Właśnie wsiadła do powozu jego córka, hrabianka Roseta.

– Ach tak. A kimże jest ta druga dama?

– To jakaś obca pani. Pan Alimpo, rządca hrabiego, powiedział mi, że jest przyjaciółką hrabianki. Angielką, a jedzie w gościnę na zamek Rodrigandów.

Mariano nie wiedział sam, na co patrzeć: czy na zawołaną twarz Angielki, czy na koronę, która dla niego była świętością. Panie właśnie odjeżdżały. Gospodarz wyszedł, aby je raz jeszcze pożegnać. Angielka popatrzyła w okno, w którym stał huzar. Konie ruszyły z kopyta. Mariano rzucił pieniądze gospodarzowi, wybiegł przed hotel i wskakując na konia zawołał:

– Jedziemy!

– Już? – jego towarzysza zaskoczył ten pośpiech.

Mariano nie powiedział ani słowa. Rzekomemu słudze nie pozostało więc nic innego jak pocwałować za panem.

Mariano zacinał konia batem tak długo, dopóki nie zobaczył przed sobą hrabiowskiego powozu. Jechał teraz ostrym klusem. Uspokoił się nieco, mógł zebrać myśli. A może to tylko przygodne spotkanie? Przecież z pewnością niejedna rodzina ma w herbie litery R. S. Dlaczego pędzi za powozem? Rodriganda jest przecież i tak celem jego wyprawy, więc prędzej czy później zobaczy obie panie.

Zwolnił biegu. Powóz zaczął mu znikać z oczu. Nagle usłyszał dwa następujące po sobie strzały. Na zakręcie drogi ukazały się obłoki dymu. Czyżby ktoś strzelał do powozu? Kilka-krotnie spiął konia ostrogami i popędził jak szalony. Po chwili był na miejscu. Powóz stał pośrodku drogi, obok leżały konie z przestrzelonymi łbami. Woźnica z wytrzeszczonymi oczami dygotał z przerażenia. Na stopniu pojazdu stał człowiek okryty kapturem z rewolwerem wyciągniętym w kierunku pań. Obok niego, na ziemi, drugi ze strzelbą w rękę.

Słyszac tetent konia, odwrócili się natychmiast.

– Do diabła! – mruknął Bartolomé. – Poznaję Mariana.

– Cóż to nas obchodzi! – zawołał Juanito. – Ściągniemy go z konia i kwita!

To rzekłszy, wystrzelił w kierunku Mariana.

Mariano jednak na czas odskoczył w bok i wyciągnął szablę z pochwy. Jednemu napastnikowi zadał tak straszliwy cios w głowę, że aż szabla pękła, drugiego powalił strzałem z rewolweru w czoło.

– No, ci mają za swoje – rzekł i skłoniwszy się paniom, zapytał:

– Czy żadna z pań nie jest ranna?

Amy, cała w piasach, milczała. Roseta odpowiedziała:

– Na szczęście nie. Pan nas uratował, proszę więc przyjąć najgorętsze podziękowania. Jestem hrabianką de Rodriganda, a to przyjaciółka moja, Amy Dryden.

– Ja zaś nazywam się Alfred de Lautreville. Czy mogę paniom zaoferować swe usługi?

– Przyjmujemy je, panie de Lautreville, zostałyśmy tu bowiem zupełnie same.

– Niezupełnie. Woźnica schował się za powóz. Podejdź bliżej, junaku!

Woźnica, który nie ochłonął jeszcze z przerażenia, zbliżył się utykając.

– Dlaczego ukrywasz się, zamiast stać u boku pań? – zapytał Mariano. – Widzę, żeś mocny jak dąb, mógłbyś dać radę nie dwóm napastnikom, a dziesięciu!

– Tak, to prawda. Ale bałem się, że mogą mnie zastrzelić. Zresztą senior rządcą zrobił to samo. Siedzi tam, schowany w zaroślach.

Waleczny Alimpo wychylił się właśnie z za krzaków. Podczas napadu padł na ziemię i zatkanął sobie uszy, aby nic nie słyszeć. Widząc teraz, że niebezpieczeństwo minęło, skoczył na równe nogi i zbliżył się do powozu z zaciśniętymi pięściami.

– Mam wrażenie, hrabianko, że chcą tu na nas urządzić napad. Gdzie są te bestie? Rozerwę je na sztuki, na proch zetnę! Mariano oniemiał. Widział już kiedyś tego małego człowieka o zatrwożonej minie i śmiesznej bródce, widział z pewnością! Ale gdzie, gdzie?

– Teraz nieco za późno na rozszarpywanie wroga – odpowiedziała Roseta. – Trzeba było zostać na miejscu, a nie uciekać.

– Uciekać? Ja uciekałem, hrabianko? – zakłopotał się rządcą.

– Nie tylko uciekałeś, mój panie, ale w dodatku się ukryłeś.

– Musiałem się ukryć. Nie mogłem przecież nadstawiać czoła. Zresztą wiedziałem, że będę jeszcze potrzebny.

– Oryginalny sposób walki – przyznała hrabianka z uśmiechem. – Zresztą spóźniłeś się i tym razem. Oto trupy opryszków.

Służący Mariana zsiadł z konia i pozdejmował kaptury z głów napastników. Twarz tego, który otrzymał cięcie szablą, krew tak obficie zbroczyła, że nie było mowy o rozpoznaniu rysów, natomiast na widok drugiego napastnika Alimpo zawołał:

– Święta Laureto, ależ to nasz zbiegły jeniec! Czy hrabianka go poznaje?

– Tak, to on. Kara spotkała go prędko.

Zajęta rozmową, nie zwracała uwagi na huzarów. Obaj pochylili się nad zabitym, a ordynans mruknął:

– Do diaska, to przecież Bartolomé!

– Nie daj nic poznać po sobie – upominał Mariano. Zwracając się zaś do hrabianki, zapytał: – Pani znała tego człowieka, condeso?

– Tak. Należał do bandy morderców, która napadła na jednego z mieszkańców naszego zamku. Schwymano go, ale uciekł.

– Trzeba więc o wszystkim dać znać do Pons, jesteśmy bowiem na terenie miejskim.

– A co z powozem, skoro konie zabite?

– Odwiozę panie na zamek.

– To byłoby cudownie! Ale nie mamy przecież koni...

– Zaprzęgniemy oba nasze wierzchowce i udamy się w drogę. Mój służący i pani ludzie zostaną tutaj, aby zawiadomić władzę i czuwać przy zwłokach do czasu, aż przybędzie komisja.

– Świetny pomysł! Jedźmy stąd jak najprędzej, boję się tego miejsca.

Po chwili konie zaprzęgnięto, huzar wskoczył na kozioł. Alimpo podszedł do powozu ze słowami:

– Hrabianko, proszę o jedną łaskę. Niech condesa powie mojej Elvirze, że nie zostałem zabity, że zwyciężyliśmy!

– Dobrze, powiem to jej, Alimpo.

Mariano omal nie wypuścił z rąk cugli. Elvira, Alimpo to przecież imiona tak dobrze mu znane.

– Władze zawiadomię natychmiast – oświadczył rządca. – W podobnych okolicznościach należy zawsze zawiadamiać władzę, tak mówi Elvira.

Po tych słowach Mariano poczuł, że świat jego chłopięcych marzeń jest jak najbardziej prawdziwy. To ten Alimpo nosił go przecież na rękach, kołysał na kolanach. Nie miał jednak teraz czasu, żeby zastanowić się nad tym wszystkim, hrabianka prosiła bowiem, aby popędzono konie.

Gdy powóz odjechał, Alimpo spytał huzara:

– Jesteście ordynansem tego oficera? Czy mogę wiedzieć, jak się wasz pan nazywa?

– Porucznik Alfred de Lautreville.

– Jesteście Francuzami?

– Tak. Pułk nasz stoi w Paryżu.

– Porucznik mówi jednak po katalońsku, jakby się tu urodził. Czy długo bawicie w Hiszpanii?

– Tego nie mogę powiedzieć – odparł ordynans. – Jesteśmy bowiem w misji dyplomatycznej.

– Aha! Więc pan porucznik jest dyplomata? Taki młody, a już dyplomata! A przy tym żołnierz nie lada. Popatrzcie tylko, jak zażył tych zbójców.

Po tych słowach zwrócił się do woźnicy:

– Czy przypatrzyłeś się dobrze porucznikowi de Lautreville?

– Tak.

– I nic szczególnego nie zauważyłeś?

– Nie.

– Jak długo służysz u naszego hrabiego?

– Przeszło trzydzieści lat.

– Więc go znałeś za młodych lat. A przecież ten porucznik... Czy nic cię nie zdziwiło?

– Nie – odparł woźnica.

– W takim razie jesteś skończonym osłem! Zrozumiano?

– Tak jest – rzekł woźnica zadowolony, niczym z komplementu.

Powóz hrabiowski zdążył do Rodrigandy. Roseta zastanawiała się, w jaki sposób rozbójnicy zaplanowali zamach. Amy wpatrywała się w porucznika, który powoził z niezwykle wprawą.

Kiedy dojechali do zamku, przed bramą czekał na nich wysoki, szczupły mężczyzna.

– Co to za człowiek? – spytała Amy.

– To nasz pełnomocnik, senior Gasparino Cortejo – odparła Roseta.

Mariano znał to imię, nosił je przecież człowiek, który kazał go wykraść. Nad bramą zamku Mariano zobaczył wielki herb wykuty z kamienia, na którym widniała korona hrabiowska z inicjałami R. S. A więc nareszcie przybył na miejsce, gdzie narodziły się jego dziecięce sny! Czy znajdą tu urzeczywistnienie?

Notariusz przyglądał się nieznanemu młodzieńcowi z niepokojem.

– Któż to jest? – mruknął do siebie. – Co za podobieństwo! To przecież wykapany hrabia Manuel sprzed trzydziestu lat! Czy to przypadek, czy też zgoła co innego?

Poczuł na sobie badawczy wzrok oficera. Trwało to mgnienie oka, ale wystarczyło, żeby Cortejo poczuł się niepewnie.

Kiedy panie wysiadły z powozu, podszedł do nich i ukloniwszy się głęboko, zwrócił się z uśmiechem do hrabianki:

– Witam condese, witam. Czy zechce mnie pani przedstawić swoim gościom?

– Ależ oczywiście.

Kiedy wymieniono nazwisko notariusza, oficer znowu skierował uważne spojrzenie w jego stronę. Cortejo natomiast, usłyszawszy nazwisko Alfreda de Lautreville, odzyskał spokój. Oficer był Francuzem, więc w podobieństwie jego do hrabiego Manuela notariusz upatrywał jedynie przypadek.

Na spotkanie gości wyszli hrabia Alfonso, doktor Sternau i Clarisa. Widząc obce konie zaprzęgnięte do powozu, Alfonso zapytał o przyczynę tego.

– Pan de Lautreville pożyczył nam uprzejmie swoje konie, gdyż nasze zostały zabite – rzekła Roseta.

– Zabite? – zdumiał się notariusz. – Przez kogo?

– Przez tego samego człowieka, który uciekł z zamku ubiegłej nocy.

Opowiedziała przygodę. Wszyscy podziękowali młodemu oficerowi, że pośpieszył paniom z pomocą. Za przykładem innych i notariusz podał mu rękę. Był zadowolony, bowiem śmierć rozbójników uwolniła go od obawy przed przykrymi niespodziankami. Rzekł więc:

– Sprawa napadu w zamku będzie dokładnie zbadana. Komisja śledcza już przybyła. Prokurator z Barcelony jest właśnie u hrabiego Manuela. Ma jeszcze przesłuchać hrabiankę jako świadka, potem komisja będzie mogła bez zwłoki pojechać do Pons.

Wszyscy udali się do hrabiego. Stary pan bardzo serdecznie powitał przyjaciółkę córki i ciepło podziękował oficerowi za uratowanie pań.

– Ależ to drobiazg – odpowiedział Mariano. – Nie zasłużyłem na tak wielką wdzięczność. Uratowałem raczej pieniądze i kosztowności pań aniżeli ich życie.

– Nie – zaproponowała Roseta. – Zawdzięczamy panu życie. Proszę uważać nasz dom za swój. Nie puścimy pana stąd tak prędko.

– Spełniłem tylko swój obowiązek i nie mam odwagi nadużywać pani dobroci.

– Co pan uważa za nadużycie? – przerwał hrabia Manuel. – Okaże mi senior wielką łaskę, jeżeli zechce zostać przez czas jakiś w tym domu. Chciałbym, aby wypoczął pan u nas po trudach podróży. Roseta wskaże panu pokój, proszę się w nim rozgościć.

Hrabia powiedział tak nie tylko dlatego, by grzeczności stało się zadość. Nie widział wprawdzie swego gościa, ale głos oficera podobał mu się bardzo i przypadł do serca.

Notariusz stał tuż obok i porównywał rysy twarzy obu mężczyzn. Byli do siebie bardzo podobni. Postanowił mieć się na baczności.

Po jakimś czasie porucznik opuścił pokój. Służący zaprowadził go do apartamentu, który składał się z przedpokoju, gabinetu i sypialni. Gdy wszedł do niej, by się umyć, ujrzał jakąś kobietę, sprawdzającą, czy wszystko przygotowano w należyтым porządku. Usłyszawszy jego kroki, odwróciła się ku drzwiom. Wiedząc, że gość jest oficerem francuskim, przygotowała się do uprzejmego ukłonu, zobaczywszy jednak jego twarz, wrosła w ziemię.

– Na miłość boską – wykrzyknęła – to przecież hrabia Manuel! Mariano cofnął się mimo woli. Znał tę kobietę, znał ją bez wątplenia. Nieraz kołysała go na swych kolanach, nieraz patrzył w jej dobre oczy.

– Nazywa się pani Elvira, prawda?

– Tak – odpowiedziała, oddychając ciężko. – Skąd mnie pan zna?

– Z rozmowy z pani mężem. Ale dlaczego seniorina nazwała mnie przed chwilą hrabią Manuelem?

– To niesłychane! Wygląda senior zupełnie tak, jak hrabia Manuel, kiedy miał dwadzieścia, trzydzieści lat.

– Doprawdy? Dziwny przypadek.

– Co za podobieństwo! Gdyby to widział mój Alimpo!

– Już mnie widział. Czy hrabianka przywiozła pani pozdrowienia od niego?

– Więć prosił, aby mnie pozdrowić?

– Naturalnie.

Rozpromieniła się.

– To ładnie z jego strony. Co mi chciał powiedzieć?

– Że nie został zabity.

– Słyszałam od służby, że napadnięto na nich. To szczęście dla naszej hrabianki, że była pod jego opieką.

– Oczywiście – Mariano uśmiechnął się. – Kazał pani jeszcze powiedzieć, że walczył jak lew i zwyciężył.

– Spodziewałam się tego. Mój Alimpo jest waleczny, chwilami nawet tak zuchwały, że muszę go temperować. Chciałabym seniora zaprowadzić do galerii obrazów, w której wisi portret hrabiego Manuela. Uderzy pana to podobieństwo. Ale najpierw niech senior wypocznie. Walczył pan przecież z rozbójnikami, musi więc być bardzo zmęczony.

Po tych słowach zamierzała odejść, ale Mariano zatrzymał ją.

– Może seniora zechce zostać i odpowiedzieć mi na parę pytań?

– Chętnie. Panu i seniorowi doktorowi niczego nie potrafię odmówić.

– Mówi pani o doktorze Sternau? Co to za człowiek?

– Niemal równie dzielny i zacny jak mój Alimpo. Przybył z Paryża, aby przywrócić hrabiemu wzrok. Najwybitniejsi nasi lekarze musieli przed nim ustąpić. Wczoraj napadli go rozbójnicy.

– Słyszałem o tym. Czy wiadomo, dlaczego chciano go zabić? Czy ma jakichś wrogów?

– Nie przypuszczam. Chyba cały świat go kocha.

Wiadomość o napadzie na lekarza dała Marianowi wiele do myślenia. Nie wątpił, że herszt maczał w tym ręce. Któż jednak dał mu pieniądze, by zabić lekarza? Zamek jest pełen tajemnic, trzeba je wyświetlić – pomyślał.

– Zostanę tu zapewne czas jakiś i dlatego chciałbym się coś niecoś dowiedzieć o mieszkańcach zamku. A więc przede wszystkim: co to za człowiek senior Gasparino Cortejo?

– Jeżeli mam być szczerą, panie poruczniku, to nikt nie znosi tego Corteja, choć jest prawą ręką hrabiego. Człowiek to dumny i ponury. Mówią, że nadużywa zaufania hrabiego dla własnych korzyści. Tego zdania jest również mój Alimpo.

– A donia Clarisa?

– Jest duenią hrabianki. Żyje w wielkiej zgodzie z panem Gasparinem. Ta kobieta również nie cieszy się sympatią.

- A młody hrabia?
- Jest tutaj dopiero od kilku miesięcy. Mieszkał w Meksyku.
- Jak długo?
- Zabrano go stąd, gdy jeszcze był dzieckiem.
- To dziwne. Hrabia oddaje swego pierworodnego do kraju, gdzie nikt nie jest pewien życia?
- Okoliczności skłoniły go do tego. Brat hrabiego, don Fernando, został jako młodszy syn pozbawiony majoratu. Wziąwszy część schedy, która mu przypadła, wyemigrował do Meksyku, gdzie po jakimś czasie osiągnął wielką fortunę. Nie ożenił się, więc dziedzicem ustanowić miał młodszego syna naszego hrabiego, zażądał jednak, aby mu go oddano na wychowanie. Hrabia Manuel zgodził się na propozycję brata, chodziło bowiem o ogromny majątek.
- Kiedy chłopca odesłano do Meksyku?
- Było to w dzień urodzin mego poczciwego Alimpa, pierwszego października roku 1830. Mariano czuł, jak mu serce bije mocno. Opanował się jednak i zapytał:
- Chłopak nazywał się Alfonso?
- Tak.
- Kto go zabrał do Meksyku?
- Dzierżawca don Fernanda.
- Jak się nazywał ten dzierżawca?
- Pedro Arbellez.
- Kto był jeszcze przy dziecku?
- Piastunka Maria Hermoyes.
- Gdzie don Pedro Arbellez wsiadł na statek?
- W Barcelonie. Hrabia, hrabina i ja odprowadziliśmy tam chłopca.
- Aż na statek?
- Nie. Na morzu był sztorm, musiano czekać dwa dni. Dziecko wraz z Meksykaninem zostało przez dwie noce w hotelu.
- Jak się nazywał ten hotel?
- El Hombre Grande.
- Wszystko zgadzało się z opowiadaniem zmarłego żebraka. Mariano walczył ze sobą, żeby nie zdradzić wzruszenia.
- Czy Cortejo – pytał dalej – był w tym czasie w służbie u hrabiego?
- Tak.
- Jest żonaty, ma dzieci?
- Nie.
- Może krewni notariusza mają potomstwo?
- W Meksyku mieszka jego brat, ojciec jedynej niezamężnej córki.
- Czy don Fernando z Meksyku żyje jeszcze?
- Nie, zmarł w ubiegłym roku.
- Alfonso został jego dziedzicem?
- Tak, ma ogromną fortunę.
- Wspomniała pani, że hrabia Manuel miał dwóch synów?
- Tak. Starszy zmarł po wyjeździe Alfonsa do Ameryki. Kształcił się w Madrycie na oficera. Zmarł od żółtej febry. Alfonso jest więc jedynym synem i odziedziczył koronę hrabiowską.
- Mam wrażenie, że ten Alfonso jest dziwnie podobny do Gasparina Corteja i seniory Clarisy.
- Pan to również zauważył, panie poruczniku?
- Podobieństwo uderza w oczy.
- To samo mówi mój Alimpo.
- Czy Alfonso cieszy się sympatią otoczenia?

– Nie. Gdy go jeszcze nosiłam na rękach, był miłym, kochanym dzieckiem, ale w Meksyku zmienił się zupełnie. Tu na zamku przebywa przeważnie w towarzystwie seniora Corteja i Clarisy.

– Kim jest miss Amy Dryden?

– To Angielka, przyjaciółka naszej hrabianki. Ma podobno bardzo bogatego ojca. Więcej nic o niej nie wiem.

– To chwilowo mi wystarczy. Dziękuję, seniora Elvira.

– Niech pan porucznik pozwoli teraz z kolei zadać sobie jedno pytanie: czy nie jest senior przypadkiem krewnym Rodrigandów?

– Nie, nazywam się Lautreville.

– A może pańska rodzina jest spokrewniona z rodziną Cordobillów? Żona hrabiego Manuela nazywała się z domu Cordobilla.

– Nie, nie jestem z nimi spokrewniony.

– W takim razie pańskie podobieństwo jest dla mnie niepojęte. Niechże mi senior jeszcze powie, kiedy wróci Alimpo.

– Przypuszczam, że jeszcze dziś.

– Dziękuję panu. Gdyby mnie senior potrzebował, proszę tylko zadzwonić.

Mariano chodził po pokoju bardzo podniecony. Wszystko świadczyło o tym, że był dziedzicem olbrzymiej fortuny, synem hrabiego Manuela, bratem condesy Rosety. Alfonso zaś – podrzutkiem, którego pochodzenie zna chyba tylko Cortejo i herszt. Ale po co posłano mnie na zamek? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Jeżeli jest istotnie synem hrabiego, to herszt okazał się lekkomyślny. A jednak to stary wyga. Nie, w tym kryło się coś, czego Mariano nie mógł zrozumieć.

Podczas gdy Mariano pogrążony był w tych rozmyślaniach, Clarisa i Cortejo naradzili się.

– Kamień spadł mi z serca, gdy się dowiedziałem, że rozbójnicy zostali zabici – rzekł Cortejo. – Ten porucznik nie mógł mi wyświadczyć lepszej przysługi.

– Ale zastanawiające jest to jego podobieństwo.

– Tak. Zamarłem wprost ze strachu na jego widok.

– I ja!

– Zagadkowa historia.

– A może ten twój kapitan...

– Cóż znowu, Clariso! Rozbójnicy nie popełniliby takiej nieostrożności. Przypuszczam tylko, że chłopiec, którego zostawiłem u nich, został również zamieniony.

– Miałyby więc być nim porucznik Lautreville? W jaki sposób dziecko mogłoby się dostać do Francji?

– Skąd mam to wiedzieć? Ale to nie jest wykluczone.

– Trzeba w każdym razie zręcznie wybadać porucznika. Jest młody, niedoświadczony, wygada się łatwo. Będziesz musiał zdobyć jego zaufanie. Czy herszt wie, czyje dziecko ukrywa u siebie?

– Nie.

– W takim razie ten oficer może być istotnie synem hrabiego Manuela. A nuż rozbójnicy mieli swoje powody, by go posłać na zamek jako porucznika?

– Nie, to niemożliwe. Przecież od razu poznać, że ten porucznik nie wychowywał się wśród nich. Ta ogłada, wdzięk i wytworność ruchów... Poza tym wydaje się mieć staranne wykształcenie. Nie, to nie rozbójnik!

– Może masz rację. Gdyby to był chłopak, którego zostawiliśmy u kapitana, nie zabijałby przecież swoich kamratów.

– No właśnie. Mimo to było dużą nierozwagą z naszej strony, że chłopak nie został zabity. Bądź co bądź, umarły nie może mówić.

- Ale najgorsze to, żeś niepotrzebnie podpisał kartkę, którą ci podsunął herszt. Nie mogłam uwierzyć, że prawnik popełnił tego rodzaju głupstwo.
- Miałem nóż na gardle.
- Nie rozumiem. Przecież rozbójnik nie pójdzie na skargę do sędziego.
- Nie, ale mógłby pójść do hrabiego i przynieść mu jego dziecko. Nie boję się tego rewersu, który podpisałem. Herszt zechce wymusić na jego podstawie pieniądze, ale nic ponadto.
- Ciekawa jestem, jak mógłby przynieść hrabiemu dziecko, jeżeli nie wie, że ojcem tego dziecka jest hrabia.
- Ja z pewnością nie powiedziałem mu tego. Rozbójnicy są sprytni, więc może coś zwięszyli. I dlatego herszt tak gorąco sprzeciwiał się zabiciu chłopca. W każdym razie, gdyby mi chciał wejść w drogę, zastrzelę go jak psa! Tego bądź pewna!